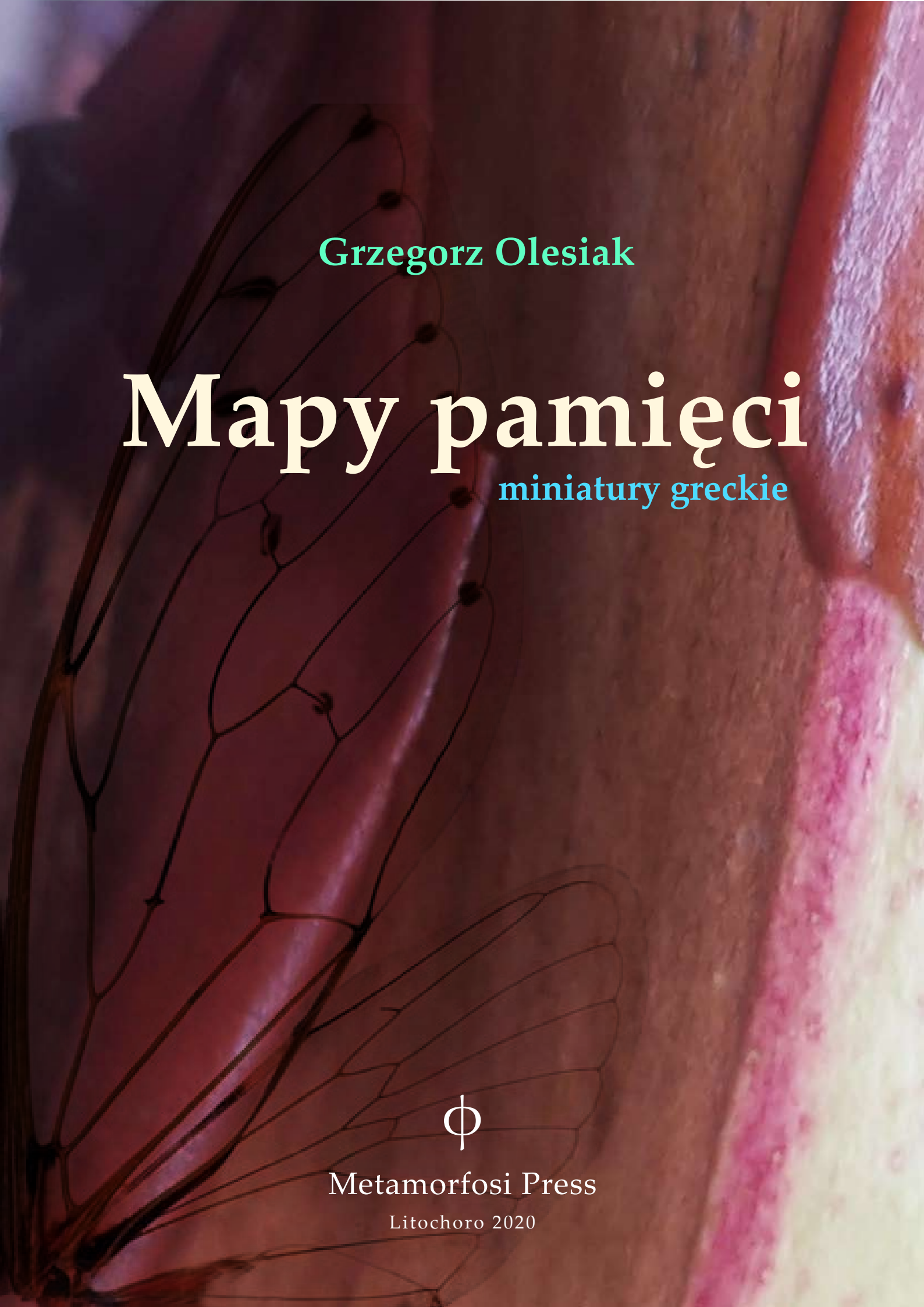


The background of the cover features a close-up, artistic photograph of a dragonfly's wing, showing its intricate network of veins. The wing is positioned diagonally across the frame. To the right, a portion of a book's cover is visible, showing a textured, reddish-brown material and a strip of lighter, possibly leather or cloth, binding.

Grzegorz Olesiak

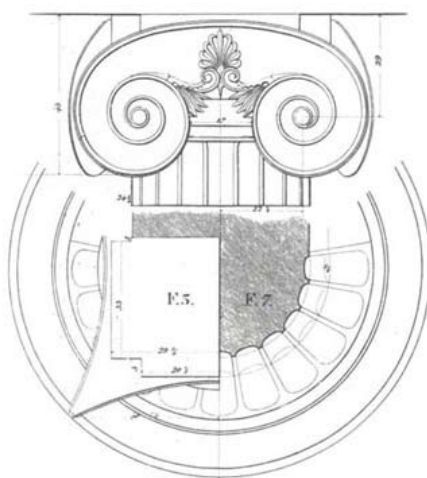
# Mapy pamięci

miniatury greckie



Metamorfofi Press

Litochoro 2020



Zdjęcia na okładce:  
Glistrokoumaria (greckie drzewo truskawkowe) zrzucająca skórę po  
deszczu i skrzydła cykady w powiększeniu.

Rysunki detali architektonicznych:  
James Stuart and Nicholas Revett, *Antiques of Athens* (1762)  
[domena publiczna]

Projekt graficzny: Metamorfosi Press  
Copyright by Grzegorz Olesiak

Grzegorz Olesiak

# Mapy pamięci

miniatury greckie

*for Monika and Grigoris*



Metamorfosi Press

Litochoro 2020

### ***Nota techniczna***

*Wydawnictwo niniejsze przygotowane jest tak, jak prawdziwa książka papierowa i czytelnik może sobie ją wydrukować, jeśli ma taką ochotę. Aby każdy rozdział rozpoczął się po prawej stronie, w treści znajduje się kilka pustych stron. Wersja pdf zachowuje zalety wersji elektronicznej: spis treści jest interaktywny – można bezpośrednio przejść do odpowiedniego rozdziału, aktywne są także przypisy, a rysunki fragmentów antycznej architektury, umieszczone na końcu każdego rozdziału, przekierowują do spisu treści.*



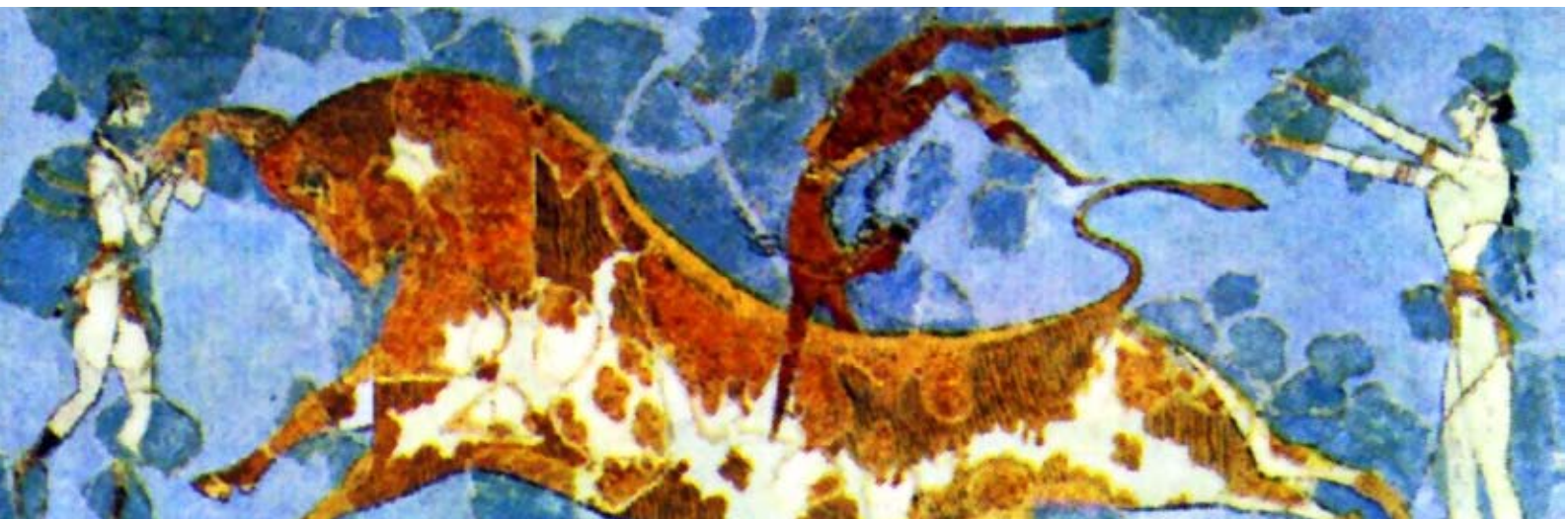
## Spis treści:

- 7 Grecja - początek przygody
- 11 Droga do raju
- 15 Cykady - czyli o tym co nieprzewidywalne
- 25 Glistrokoumaria - greckie drzewo truskawkowe
- 31 Pieczęć z Pylos
- 39 Korfu - samochodowa ballada
- 43 Tajemnica magnetycznego napisu
- 51 Mapy mojego świata
- 61 Olympus Mythical Trail
- 73 Moje życie w Litochoro



# Grecja - początek przygody

Wszystko zaczęło się na Krecie. Mała, spokojna wioska Maroulas, kilka kilometrów od Retymnonu. Jeździłem na rowerze po południowej części wyspy i byłem zauroczony. Krajobrazem górskiego interioru, wybrzeżem Morza Libijskiego, małymi wioskami zagubionymi wśród gajów oliwnych. Ale także niesamowitą sztuką minojską w muzeum w Heraklionie. Zawsze miałem wrażenie, że muzea to miejsca martwe, ale to w Heraklionie pokazało mi kawałek świata zupełnie niemożliwy, a jednak kiedyś istniejący.

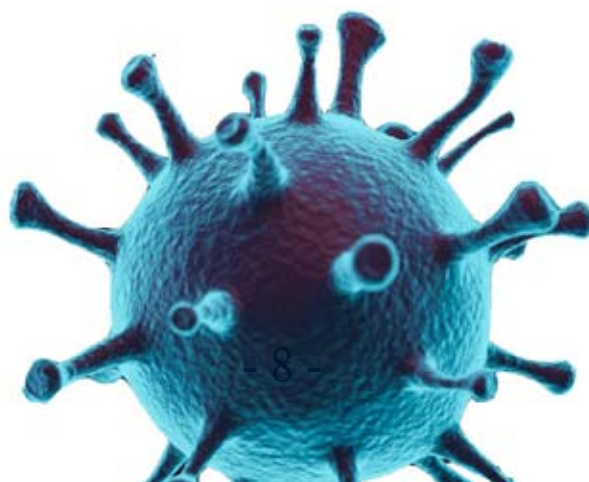


A później były inne wyspy, Peloponez, Ateny i góry. Wiele razy Grecja dostarczyła mi wrażeń o religijnej wręcz intensywności. Małe wysepki Morza Egejskiego w czasie krótkiej podróży z Myko-

nos na Delos, świątynia Posejdona na przylądku Sunion na końcu Attyki, która tak nagle wyłania się z otaczających wzgórz, Delfy wznoszące się niekończącymi się tarasami cudów antycznej wyobraźni na zboczach góry Parnas czy Akropol, który powinien być szczytem podręcznikowego banału, a na żywo robi piorunujące wrażenie! W końcu góry - wszechobecne w Grecji. Przede wszystkim Olimp i Góry Pindos, ale także wszystkie mniejsze czy większe wzgórza, widoczne tu z każdego miejsca, które zaspakajają moją złąknioną przewyższeń wyobraźnię.

Miniatury zebrane w niniejszej książeczce mają za przedmiot Grecję. A dokładniej mówiąc, moje doświadczenie tego, co spotkałem i cały czas spotykam nad Morzem Egejskim. Nie planowałem żadnego z przedstawionych tematów - same do mnie przychodziły: w czasie wędrówki przez góry, miejskiej włóczęgi, wizyty w muzeum czy przeszukiwania przepastnych magazynów internetu. Oddawana w ręce czytelnika pozycja nie jest zatem w żadnym stopniu opisem tego, co w Grecji najpiękniejsze, z jakiegokolwiek powodu najważniejsze, czy najbardziej warte zobaczenia. Jest to raczej luźny zestaw tekstów na różne tematy - świadectwo mojej fascynacji grecką cywilizacją.

Niemniej, jako teksty rozproszone i powstałe w różnym okresie, przedstawione mikro-eseje zostały na potrzeby niniejszego wydania, przejrane, poprawione i ujednolicone stylistycznie, a w kilku wypadkach zdecydowanie rozbudowane lub napisane na nowo,



tak aby czytelnik miał jednak wrażenie pewnej całości, a proces czytelniczy nie sprawiał mu niepotrzebnych trudności.

Jednocześnie praca niniejsza jest w dużym stopniu dzieckiem swoich czasów i gdyby nie pandemia COVID-19, która opanowała świat na początku 2020 roku, pewnie nigdy nie powstałaby w takim kształcie. Jeśli zatem czytelnik odczuje niedosyt po przeczytaniu tych kilkudziesięciu stron, pewnym pocieszeniem może być obietnica, że planowana jest dalsza część. Pewnie o wiele bardziej przemyślana, systematyczna i różnorodna.

Grecja codziennie na nowo odkrywa przede mną swoje fascynujące oblicze...





# Droga do raju

Zawsze kiedy zaczynam myśleć o podróżowaniu, przychodzi mi na myśl pewien obraz: jest rok 1622, oto słynny malarz Pieter Brueghel jedzie konno z Flandrii do Włoch. Przez Burgundię, Alzację, Lotaryngię, kantony Szwajcarii, Alpy Włoskie i Lombardię. Zanurza się w kształty i barwy mijanych po drodze krain, chłonie obyczaje, spojrzenia, gesty, szczegóły strojów, narzędzi i architektury. Ma czas. Dziennie pokonuje nie więcej niż 30 km. Powoli opuszcza



rodzinne strony i jedzie w nieznane. Droga z Flandrii do Włoch to około 1000 km, jedzie więc co najmniej miesiąc. Współcześnie pokonujemy ten sam dystans samolotem w mniej niż godzinę. Ile świata tracimy po drodze?<sup>1</sup>

Nie, nie zamierzałem nigdy jechać konno do Grecji; nawet na rowerze udało mi się pokonać co najwyżej połowę tego dystansu. Jednak drogę z Warszawy do Aten kilka razy przejechałem samochodem. Nieco ponad 2 tysiące kilometrów, do granicy Grecji sporo mniej. I mimo że całość nie powinna zająć wiele więcej niż 24 godziny, różnica z podróżą samolotem jest ogromna. Sama taka podróż i możliwość ocalenia ogromnego kawałka świata mijanego po drodze, podniecała mnie często prawie równie mocno, jak jej ostateczny cel - wielki, słoneczny półwysep nad Morzem Egejskim. Generalnie do wyboru są dwie drogi: jedną przez Czechy, Słowację, Węgry, Serbię i Macedonię, powtarzając z grubsza pierwszą część trasy bohaterów książki Andrzeja Stasiuka "Taksim". Taką trasę podpowiada też Google, bo jest teoretycznie najszybsza, prowadzi w większości autostradami, ale przez to jest oczywiście mniej ciekawa. Jechałem tamtędy kilka lat temu. Został mi w pamięci cudowny obraz krajobrazu górskiego Północnej Macedonii, w kolorze głębokiej ochry (był koniec sierpnia) i muzułmańska muzyka rockowa w lokalnych rozgłoszeniach radiowych. Ale także nieco mistyczny krajobraz węgierskich równin, w południowej części kraju (podkreślany pewnie porą dnia, na kilka chwil przed zachodem słońca) i całkiem spore wzgórza nad Dunajem na północ od Budapesztu. Jednak ogromne połacie prawie idealnie płaskiej Serbii koło Nowego Sadu, nieznośnie mnie znużyły.

Ale można też wybrać drogę po wschodniej stronie kontynentu. Przez Sandomierz i Beskid Niski, inne regiony Słowacji i Węgier, a dalej przez Rumunię i Bułgarię. Teoretycznie jest to nawet krótsza trasa (choć zajmuje więcej czasu). Jej największą zaletą jest Rumunia – prawdziwe eldorado dzikiego, łagodnego, krajobrazu i codziennego piękna. Początkowo przez równiny Panonii

i niewielkie wzgórza Siedmiogrodu, dalej przez Karpaty, głęboką doliną między Górami Ratezat (z największą w Europie populacją niedźwiedzi) a pasmem Semenice, by wreszcie dotrzeć do Żelaznej Bramy – wielkiego wąwozu, przez który przeciska się Dunaj, oddzielając Góry Dynarskie od Karpat i pięknego, nowego mostu podwieszanego, między miejscowościami Calafat a Widin, na granicy rumuńsko-bułgarskiej. Sofię da się objechać obwodnicą, zahaczając przy okazji o Park Narodowy Witosza, z górami o wysokości prawie 2300 m, do których dojeżdża autobus miejski. Mocno zalesione i dzikie pogranicze bułgarsko-greckie, o podobnie tragicznej historii jak nasze Bieszczady, nieodmiennie kojarzy mi się



z mroczną stroną natury, tak jakby na chwilę przed oślepiającym blaskiem południowego słońca należało poczuć przez chwilę dotknięcie ciemnej nocy. W końcu palmy, cyprysy i oliwki i jestem nad Morzem Śródziemnym.

6 krajów w 24 godziny. Tempo istotnie szybsze od tempa Brueghla, ale jadąc samochodem nie mam żadnego problemu z odróżnieniem kraju, w jakim akurat jestem. Przejścia graniczne co prawda w wielu miejscach zupełnie znikły, a miejsca po nich zarasta trawa, ale po przejechaniu magicznych linii zmienia się prawie wszystko.

Przede wszystkim języki i napisy przy drogach. Także kształt poboczy, znaków drogowych i słupów elektrycznych. Domy, kościoły, rodzaj i sposób użytkowania pól uprawnych. Zawsze dziwię się też niezmiennie, jak bardzo zmienia się rodzaj muzyki i sposób narracji lokalnych rozgłośni radiowych. Agresja i zmasowany atak reklam w Polsce i w Serbii, pewne odcienie łagodności na Słowacji, do mocno lokalnie zakorzenionych mediów w Rumunii i Grecji (w Grecji wiele radiostacji puszcza tylko muzykę grecką, a w Rumunii prawie każdy rodzaj muzyki ma jakieś łatwo rozpoznawalny rumuński idiom).

Jednak najbardziej fascynujący jest pewien przejaw obyczajowości, bez problemu dostrzegalny z perspektywy podróży samochodem: na Słowacji po godzinie 16.00 życie prawie zamiera, na Węgrzech generalnie jest zawsze pusto, a zaraz po wjeździe do Rumunii życie wylewa się na ulice – ludzie chodzą po poboczu, ciągną jakieś wózki z różnościami, stoją przy drodze i rozmawiają, wiecznie gdzieś jadą, a ruch na drogach nigdy właściwie nie zamiera.

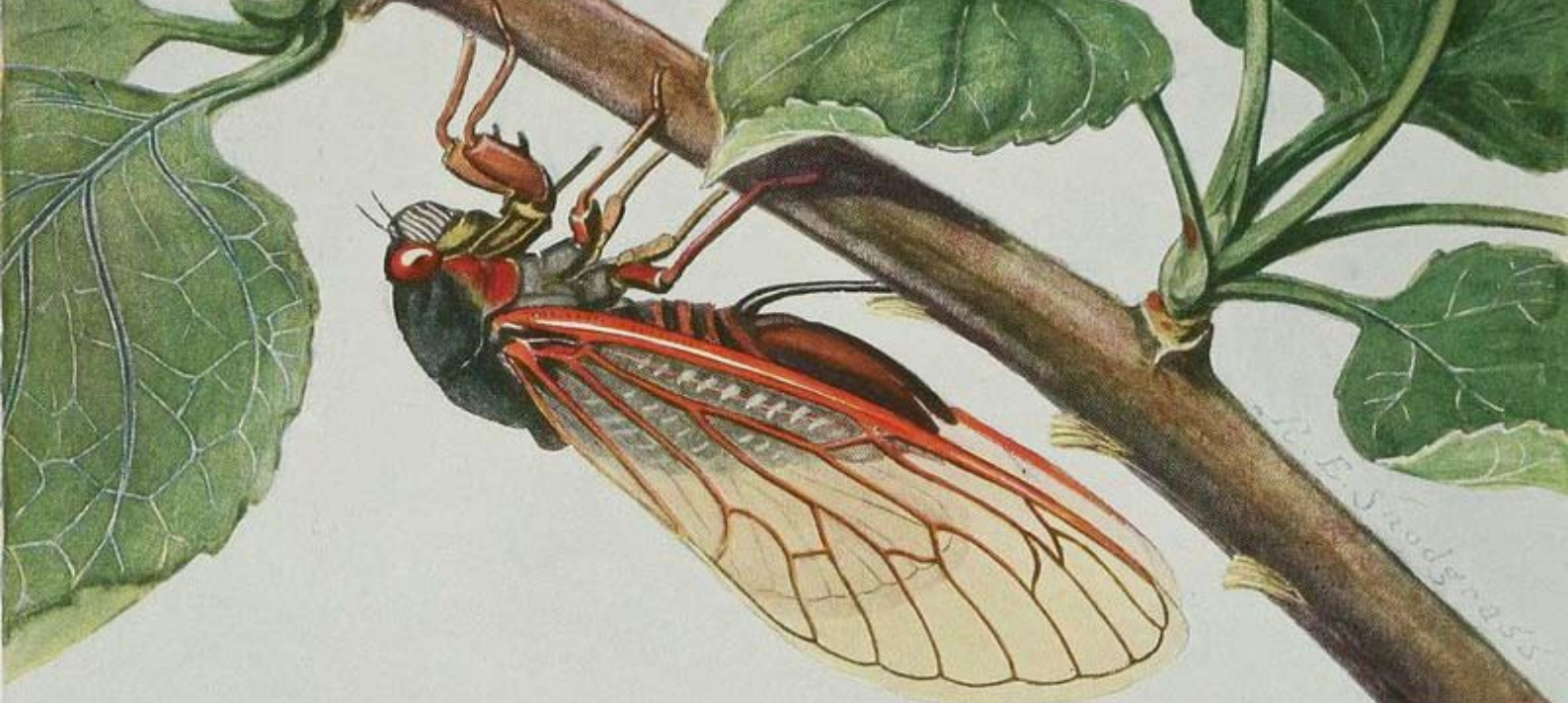
Największa korzyść tak "długiej" podróży leży jednak gdzie indziej. Przez 24 godziny można się powoli odzwyczaić od codzienności, a mijane po drodze krajobrazy skutecznie zacierają w pamięci wygląd bloków na Ursynowie i obraz Pałacu Kultury. Taka podróż oczyszcza umysł i przygotowuje na ogrom nowych doznań pod Olimpem. Ale ponieważ siła wspomnienia jest ogromna, wielkość oczekiwań - jeszcze większa. Jak będzie tym razem? Czym zaskoczy mnie egejski błękit? Jakie nowe miejsca zdołam odkryć w kraju o najdłuższej linii brzegowej na świecie?



## Cykady – o tym co nieprzewidywalne

Był środek upalnego lata, szczyt sezonu urlopowego. Stałem przed Muzeum Archeologicznym w Heraklionie na Krecie, wśród tłumu turystów. Delektowałem się porażającym słońcem lipca, bujną przyrodą na skwerku obok i mającym za chwilę nastąpić estetycznym szaleństwem wewnątrz pałacu króla Minosa.<sup>2</sup> To był mój pierwszy raz w Grecji, wszystko było nowe, ciekawe i ekscytujące. Tylko to głośne piłowanie, jakby jakiegoś metalu o metal, nie licowało za bardzo z podniosłością chwili. Czyżby jakiś kolejny przeciągający się remont i permanentna przebudowa? Pewna regularność frazy i rytmiczność piłowania nasuwała jednak podejrzenia, że nawet





w kraju południowej swobody i wrodzonego wyczucia heksametru, robotnicy budowlani mogą nie mieć aż tyle fantazji. Po pewnym czasie dopiero, zdałem sobie sprawę, że “piłowanie” nie pochodzi od maszyny. To cykada – mały niepozorny owad, bliski kuzyn naszego konika polnego.

Słyszałem (rzadziej widziałem) później cykady w wielu miejscach na Krecie, w Grecji kontynentalnej i w wielu innych zakątkach Morza Śródziemnego. Równie głośne i nieco wyciszone, grające z samego rana, w południe i przed wieczorem; śpiewające solo, w różnych składach kameralnych i w ogromnych chórach tysięcy wokalistów. Czy może raczej skrzypków czy wiolonczelistów, bo instrumentem cykady są specjalnie przekształcone części szkieletu zewnętrznego, naprężane i zwalniane, podczas gdy całe ciało stanowi pudło rezonansowe.

Dźwięk cykad jest nad Morzem Wewnętrznym wszechobecny,<sup>3</sup> dla mnie jednak był kompletnym zaskoczeniem. W przewodnikach piszą o delfinach w Knossos, teatrze w Epidauros czy freskach cerkwi Panagia Kontariotissa niedaleko Katerini; nawet o pogodzie na Olimpie i promach kursujących między Amorgos a Astipaleą. Nikt

jednak nie ostrzegał mnie przed szaleństwem cykad!

Do każdej wyprawy można się przygotować, czytać literaturę, wy-  
pytywać znajomych, oglądać mapy; nie da się jednak przewidzieć  
wszystkiego. Więcej nawet, każda podróż niesie ogromnie dużo  
przeżyć całkowicie niespodziewanych i zaskakujących, i te właśnie  
stają się często najbardziej ekscytujące i trwałe.



A cykady nie przestają mnie fascynować. Wiele lat<sup>4</sup> spędzają  
w stadium larwalnym pod ziemią, zagrzebane na głębokości od 30  
do 250 cm. Pod koniec maja wychodzą na powierzchnię, przepo-  
czwarzają się do postaci dorosłej, zrzucają swój przezroczysty, hity-  
nowy pancerzyk, który długo jeszcze może wisieć na drzewie i za-  
czynają śpiewać. Dorosłe osobniki żyją tylko kilka tygodni, żywiąc  
się głównie sokami roślin. Mają przezroczyste, żyłkowane skrzydła,  
ale latają dosyć nieporadnie. Jednak te skrzydła to prawdziwe ar-  
cydzieła biotechnologii. Ich powierzchnia jest super hydrofobowa,  
to znaczy zbudowana z bardzo małych stożkowych elementów,  
“odpychających” wodę, która spływając myje skrzydła. Na ich po-  
wierzchni świetnie skrapla się za to rosa, cykady myją zatem swój

aparat ruchu także jak nie ma deszczu.

Ale to nie wszystko: stożkowate nano-kolce, z których skrzydła są zbudowane mają także taką właściwość, że bakterie, które na nich osiadają są mechanicznie rozrywane na strzępy. Skrzydła cykady to jedyny znany nam biomateriał, który niszczy bakterie! Czy można się zatem dziwić, że już w starożytności cykada była symbolem odradzającego się życia, wiecznej młodości i nieśmiertelności?

Przede wszystkim jednak, cykada cała jest śpiewem. Ok., być może jest to muzyka miła jedynie dla ucha partnerki samca, który wydaje te dźwięki, ale z pewnością trudno mu odmówić wytrwałości i potęgi brzmienia. Szczegółów budowy instrumentu muzycznego cykady nie podejmuję się opisywać. Powiem tylko - jest on skomplikowany. Do tego cykada podchodzi do budowy frazy całościowo. Ma aparat do wytwarzania dźwięków, w następnej kolejności rodzaj pudła rezonansowego do jego wzmacniania (połowa ciała samca to pudło rezonansowe), w końcu wykorzystuje powierzchnie, na których siada i względne ustawienie swojego ciała, do modulacji i dodatkowego wzmocnienia melodii. Jak każdy prawdziwy muzyk, cykada potrafi też słuchać; posiada specjalnym aparat do odbierania dźwięków (zarówno samiec jak i jego partnerka), jednak samiec wyłącza go, kiedy sam gra. I trudno mu się dziwić, natężenie dźwięku, jakie potrafi wytworzyć sięga 120 dB, co skutecznie zniszczyłoby nie tylko jego własny aparat, ale także narząd słuchu dorosłego człowieka, gdyby chciał posłuchać koncertu z bardzo bliskiej odległości.

Odczuwam pewne duchowe pokrewieństwo z cykadą. Po pierwsze miłość do muzyki;<sup>5</sup> ale także upodobanie do wysokich temperatur. Wartość od której mój hałaśliwy artysta zaczyna się czuć dobrze to 29° C. Wtedy także jego instrument jest najbardziej efektywny,

a muzyka rozbrzmiewa naprawdę potężnie. To dlatego cykady słyszać najlepiej w upalne dni, w popołudniowych, gorących godzinach. Mało tego, dla lepszej skuteczności, cykady potrafią podnieść temperaturę swojego ciała o 4-5° C, a niektóre gatunki nawet o 20° C ponad temperaturę otoczenia, co u zwierząt zmienno ciepłych jest nie lada wyczynem!

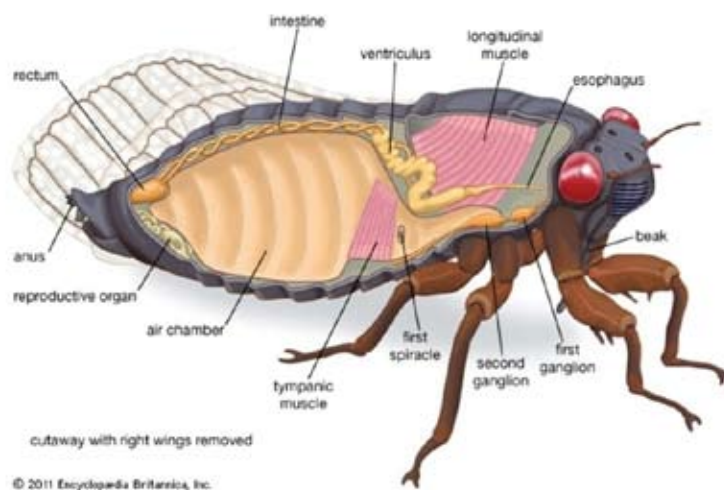
Cykada cała jest śpiewem i ze śpiewu się narodziła. Starożytni Grecy znali co najmniej dwa mity o pochodzeniu cykady. Pierwszy przytacza Platon w Fajdrosie - jednym ze swoich najpiękniejszych i najbardziej tajemniczych dialogów. W tłumaczeniu Władysława Witwickiego fragment ten brzmi w następujący sposób<sup>6</sup>:

*Otóż powiadają, że [cykady] były niegdyś ludźmi, kiedy jeszcze Muzy nie było. A kiedy przyszły Muzy i zjawił się śpiew po raz pierwszy, taki zachwyt szalony ogarnął niektórych ludzi ówczesnych, że dla śpiewu zaniebdywali jadła i napoju. Śpiewali tylko i marli, nie zdając sobie z tego sprawy.*

Mamy zatem szaleństwo śpiewu aż po grób. I to ludzkie z natury szaleństwo, tylko wtórnie przeniesione do królestwa zwierząt. Muzy wzruszone bowiem takim oddaniem dla ich wynalazku, zamieniły zapalonych śpiewaków w cykady, tak aby mogli oddawać się swej pasji bez przerwy. I rzeczywiście w sposobie istnienia cykad jest coś zadziwiającego. Najpierw wiele lat pod ziemią, w całkowitej ciemności. Potem niesamowita, magiczna przemiana (zobacz film poniżej), ciało zbudowane jak instrument muzyczny i cztery tygodnie prawie nieustannego śpiewu w oślepiającym słońcu południa - cykady grają po kilkanaście godzin dziennie, prawie nic nie jedząc!

A właściwie po co to wszystko? Nie trzeba wielkiej przenikliwości, żeby zauważyć, że śpiew cykady jest w istocie posunięciem do gra-

nic ostateczności, ekstatycznym hymnem miłości. Samiec wykonuje przecież pieśń zalotną. Tu dochodzimy do drugiego mitu o pochodzeniu owadów-muzykantów.



W homeryckim Hymnie do Afrodyty z VI w. p.n.e. znajdujemy opowieść o młodzieńcu imieniem Tithonus, który był rapsodem (śpiewakiem, poetą) i kochankiem Eos - bogini świtu. W podzięcie za jego miłość, bogini ofiarowała mu nieśmiertelność. Nic jednak nie jest idealne (szczególnie w świecie homeryckich mitów). Tithonus był nieśmiertelny, ale nie był wiecznie młody. Starzał się coraz bardziej, kurczył, był coraz mniejszy, aż w końcu Eos zmieniła go w cykadę, aby w ten sposób móc chociaż słyszeć głos ukochanego. Czyli miłość jako ocalenie? Czy raczej ocalenie jako dowód miłości na przekór i mimo wszystko. Trzeba bowiem pamiętać, że miłość między bogiem a śmiertelnikiem była w świecie homeryckim czymś rzadkim i niebezpiecznym, łamała bowiem naturalny, ustalony od zawsze porządek rzeczy. W triadzie bogowie-ludzie-zwierzęta cykady miały pozycję wyjątkową, będąc w istocie każdym z tych bytów po trochu.

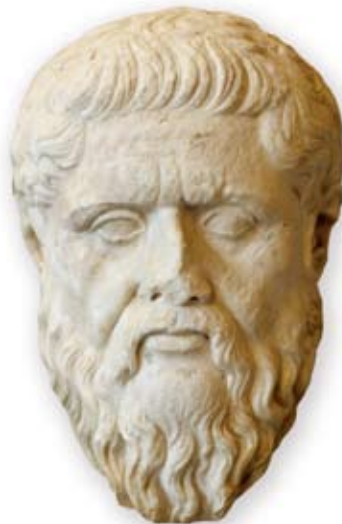
Na koniec uwaga lingwistyczna. W wielu językach wyraz cykada jest klasyczną nazwą dźwiękonaśladowczą, próbującą oddać charakterystyczną pieśń niestrudzonego owada. Po angielsku mamy *cicada*, po niemiecku *zikade*, po francusku *cigale* a po grecku *tzitzika* [Τζίτζικα]. Jednak w starogreckim języku Homera cykada to *tettix* [τέτιξ]. Czyżby zatem starożytni Grecy słyszeli trochę inaczej? A może to boskie owady zmieniły sposób koncertowania?

\* \* \*

W Litochoro cykady szczególnie upodobały sobie ścieżkę z Lakkos do Lambady, wzdłuż potoku Enipeas. W letnie dni cała dolina huczy ich śpiewem, Jestem im wdzięczny, że nie są jak ich amerykańscy kuzyni - którzy pojawiają się raz na 17 lat - i z końcem maja wyjdą z ziemi, rozwiną skrzydła, wysuszą je na słońcu i zaczną grać. Nie mogę się już doczekać...



*Piękny film o przemianie cykady w serwisie Vimeo.  
Samuel Orr "Return of the Cicadas"*

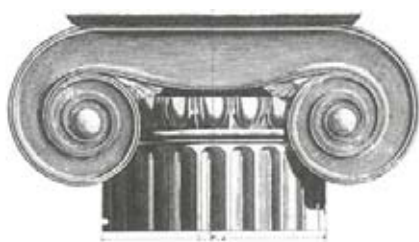


### **Dodatek dla czytelników nie stroniących od filozofii**

Z pozoru cykady nie odgrywają w *Fajdrosie* bardzo znaczącej roli<sup>7</sup>. Co prawda jest to jedyny dialog Platona, który odbywa się poza miastem, na łące pod dużym platanem i towarzyszą mu grające niestrudzenie owady, ale oprócz tego, bezpośrednio wymienione są tylko raz w opowieści o Muzach i narodzinach muzyki. Jednak ta opowieść jest nieco dłuższa niż przytoczono powyżej fragment i wynika z niej także, że cykady są pośrednikami między światem śmiertelnych a światem bogów, wstawiając się przed Muzami za ludźmi, którzy je czczą. Znaczy to także, że cykady jako skutek metamorfozy, która dokonuje się dzięki boskiej interwencji Muz, reprezentują dusze, które osiągnęły wyższy poziom świadomości, niż pozwala na to obecność ich fizycznych ciał.

Wydaje się jednak, że cykady obecne są w *Fajdrosie* także na znacznie głębszym poziomie, niejako u podstaw wyobraźni Platona, na poziomie sposobu obrazowania najważniejszych dla dialogu metafor. *Fajdros* to dialog o miłości i o duszy. Właśnie w tej kolejności, bo dla Platona najwyższy poziom miłości to miłość duchowa.

Przy tym dusza, która dzięki uczuciu wstępuje na wyższy poziom zostaje uskrzydłona. Skrzydła duszy odrywają ważną rolę w wielu dialogach, ale szczególne znaczenie mają w Fajdrocie. I właśnie te skrzydła opisywane są zawsze jako skrzydła cykad! Mało tego. Podstawowa dla dialogu przemiana duszy pod wpływem miłości, opisana jest w kategoriach transformacji cykady z larwy do postaci dorosłej. Z wieloma szczegółami, świadczącymi o uważnej obserwacji i znajomości rzeczy, która zadziwia nawet współczesnych entomologów<sup>8</sup>. Sokrates opisuje Fajdrocowi co się dzieje z duszą, a wygląda jakby opisywał szczegóły wyłaniania się cykady ze starej powłoki do postaci muzyka-wirtuoza. Z kluczowymi momentami: palpitacją serca, wydzielaniem w nadmiarze płynów (jeden z entomologów stwierdza że "całe ciało [cykady] staje się chwilowo dużym gruczołem wydzielającym"), pękaniem zewnętrznej powłoki, rozwijaniem skrzydeł, a nawet suszeniem ich na słońcu. Można czytać 31 czy 36 rozdział Fajdrosa, można też popatrzeć na piękne wideo, zamieszczony powyżej. Podobieństwo współczesnych kadrów filmowych i opisów Platona uderzające!





# Glistrokoumaria

## - greckie drzewo truskawkowe

Γλιστροκουμαριά (*Arbutus andrachne*)

Po raz pierwszy zobaczyłem ją kiedyś na drodze z Litochoro do schroniska Stavros. Fantazyjnie powykręcane gałęzie, trudny do określenia kolor, a przede wszystkim ta skóra (bo przecież nie kora) - gładka jak aksamit, pokryta jakby delikatnym meshem, raz nieco bardziej zielona, częściej przechodząca w róż, czerwień i bordo. Prawdziwy spektakl zaczyna się po deszczu: cieniutka skórka mar-



szczy się, łuszczy i zaczyna odpadać; jest wtedy ciemno bordowa, a z pod spodu wyłania się już nowa, w kolorze intensywnej pistacji.

Nigdy nie przypuszczałem, że w naturze są możliwe takie połączenia kolorystyczne, w krajach zimnej północy dominuje przecież zgaszona zieleń...

Glistrokoumaria - czyli greckie drzewo truskawkowe, była dla mnie pierwszym objawieniem greckiej egzotyki florystycznej. To prawda - na Olimpie jest np. kilkanaście gatunków sosen i nieskończone ilości cedrów, ale wszystkie sosny są do siebie jakoś podobne i nie wywołują we mnie większych emocji, a cedry mimo biblijnej prze-



szłości, szybko stają się prozaiczne. Co innego grecka koumaria, nie tworzy nigdy gęstych lasów, zawsze właściwie występuje pojedynczo i nawet z daleka łatwo ją odróżnić od wszystkich innych chropawych i ciemno brązowych drzew.

Glistrokoumaria jest drzewem niewielkim, zwykle wysokości kilku metrów, o wiecznie zielonych, grubych i lekko wydłużonych liściach. Kwitnie właśnie teraz (w kwietniu), ma małe, białe kwiatki

zebrane w konchy. Na jesieni dojrzewają owoce. Nie przypominają właściwie truskawek, są małe, okrągłe i czerwone, i jak dla mnie, niezbyt smaczne.

Jednak Glistrokoumaria jest właściwie odmianą znacznie bardziej rozpowszechnionej w rejonie śródziemnomorskim koumarii (*Arbutus unedo*), czyli po prostu drzewa truskawkowego. Koumaria ma owoce większe, rzeczywiście przypominające nieco truskawki, podobno rewelacyjne w smaku. Ta koumaria znana jest już od czasów starożytnych. Wspomina ją np. pisarz rzymski Pliniusz Starszy, od niego pochodzi też łacińska nazwa, która znaczy mniej więcej "zjadam tylko jedną" - nie bardzo wiadomo czy dlatego że taka smaczna, czy wprost przeciwnie...

Koumaria ma też pewne znaczenie heraldyczne. Herb Madrytu to niedźwiedź zjadający owoce z drzewa truskawkowego.



Najciekawsze jednak, że koumaria jest głównym bohaterem słynnego obrazu Hieronima Boscha "Ogród rozkoszy ziemskich". Namalowany około 1500 roku tryptyk do tej pory nie przestaje zadziwiać zarówno historyków sztuki, jak i zwykłych oglądaczy. Nie wiadomo nawet co jest na nim przedstawione - setki nagich postaci tłoczy się w wyimaginowanym krajobrazie, razem z realnymi i fantastycznymi zwierzętami. Ale to nagroda i obraz wiecznej szczęśliwości czy wizja siedmiu grzechów głównych, potępienie wad i ludzkich słabości? Jak by nie było, owoc drzewa truskawkowego przedstawiony jest na obrazie w nieskończonej ilości wcieleń, zarówno jako pożywienie, środek transportu, jak i narzędzie tortur. Jego obecność jest tak oczywista, że w katalogu muzeum Prado tryptyk figurował jako "Obraz z owocami drzewka truskawkowego". Tylko skąd



u północno-burgundzkiego Boscha takie zamięrowanie to śródziemnomorskiej koumarii? Na tym tle przestaje nawet dziwić, że namalowany we Flandrii obraz trafił w końcu do Madrytu - miasta z koumarią w herbie. Koło jakby się zamyka...

Grecka Glistrokoumaria ma jeszcze jedną zadziwiająca cechę. Nie cała jest zielonkawo-bordowa. Te intensywne kolory zarezerwowane są dla części żywych; jak wiele śródziemnomorskich drzew, glis-

trokoumaria ma wiele suchych gałęzi: obumarłych, uszkodzonych, może chorych. Ale te martwe gałęzie wyglądają zupełnie inaczej: są przeciętnie ciemno-brązowe, klasycznie popękane, daleko im do



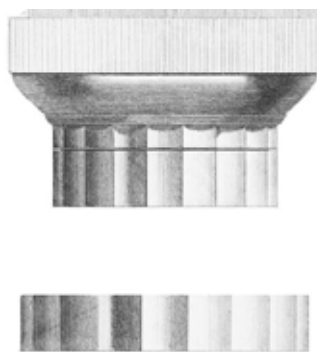
aksamitu i świeżej pistacji. Tylko dla życia zarezerwowane jest szaleństwo barw i zmiana skóry po deszczu. Życie glistrokoumarii jest przy tym dokładnie zdefiniowane, martwe są zawsze całe gałęzie, od nasady przy pniu, jakby wewnętrzny system bezpieczeństwa odłączał dokładnie całe rejony, żeby nie marnować energii.

Znalazłem kiedyś drzewo ściętej glistrokoumarii nad rzeką, w okolicach Litochoro. Tak mi się w każdym razie wydawało. Wielkie płyty drewna, z fantazyjnymi wzorami słoików, w kolorze płonącej ochry. Drewno było mokre po deszczu, kolory pewnie dodatkowo bardziej intensywne. Byłem zauroczony - skoro robią z niego fajki do palenia, może nada się na deskę do krojenia do mojej nowej kuchni? Chciałem żeby była maksymalnie naturalna. Znalezione kawałki wygładziłem tylko nieznacznie, ciągle ma mocno nieregularny kształt i porowatą strukturę. Po wyschnięciu stracił wiele z pierwotnej czerwieni, ale po impregnacji oliwą od Apostolisa,

odzyskał ją na nowo. Za każdym razem kiedy kroje na niej ser Kefalograviera, mam wrażenie, że moja glistrokoumaria nie do końca umarła.

\* \* \*

A jednak zwiódł mnie ten kolor! Moja deska do krojenia nie może być zrobiona z drzewa glistrokoumarii, jest na to za duża, pień koumarii ma najwyżej kilkanaście centymetrów średnicy, a moja podstawka wycięta jest może z półmetrowego pnia. Poza tym glistrokoumaria nie rośnie w dolinach rzek, woli bardziej suche, nasłonecznione stoki. Moja deska zrobiona jest raczej z platanu wschodniego, innego gatunku, który lubi zrzucać skórę, choć nie aż tak spektakularnie, a jego drewno gdy jest mokre rzeczywiście przybiera kolor ciemnego bordo. Pragnienia czasami prawie zmieniają rzeczywistość...



## Pieczęć z Pylos

Jest maj 2015 roku. Teren wykopalisk archeologicznych w rejonie Pałacu Nestora, w południowo-zachodniej części Peloponezu, 15 km od współczesnego miasteczka Pylos nad zatoką Navarino. Skalista wysepka Sfakteria i kilka mniejszych, miejsce bitew morskich z czasów wojny peloponeskiej w V w. p.n.e. i wojny o niepodległość Grecji na początku XIX wieku, duże wpływy włoskie w rejo-



nie. Pałac Nestora nieco w głębi lądu, odkryty w 1939 roku, dzięki wskazówkom zaczerpniętym z Iliady Homera, bo Nestor to postać literacka (ale nie wykluczone, że także rzeczywista). Pałac jest jednym z klasycznych przykładów architektury mykeńskiej (XV-XII w. p.n.e.), obecnie atrakcją turystyczną udostępnioną do zwiedzania. Dwójka amerykańskich archeologów - Jack Davis and Sharon Stocker - nie dostaje pozwolenia na wykopaliska na stokach Pałacu, postanawia zatem zbadać nieco dalsze okolice. Wybierają gaj oliwny, mimo że na pierwszy rzut oka nie obiecuje on niczego specjalnie ciekawego<sup>9</sup>. Trzy rozmieszczone dosyć regularnie kamienie mogą wskazywać na grobowiec mykeński, ale wcale nie koniecznie. Już jeden metr pod powierzchnią kilof trafia na coś twardego. Charakterystyczny brzęk metalu, zielony kolor, a więc brąz<sup>10</sup> - bingo, mamy odkrycie! Okazuje się, że jest to w całości znakomicie zachowany, nigdy nie splądrowany przez rabusiów, grobowiec mykeński z około 1450 r p.n.e., nazwany później grobowcem Wojownika Gryfa



A w środku między innymi: 4 złote pierścienie niezwykle misternej roboty, złoty naszyjnik, łańcuch z perłami, miecz z brązu z rękojeścią wysadzaną kością słoniową i złotem, dwa sztylety, groty włóczni, plakietki i sześć grzebieni z kości słoniowej, 1000 paciorków ze złota, karneolu, ametystu, agatu i jaspisu oraz lustro z brązu, którego rączkę wyrzeźbiono z kości słoniowej... razem ponad 2000

artefaktów, do tego wymieszanych, przedmioty kultury minojskiej i mykeńskiej razem! Największe odkrycie archeologiczne w Grecji od ponad pół wieku, konieczność zrewidowania naszych wyobrażeń na temat tej odległej epoki, artykuły w prasie fachowej i popularnej, sława i “odkrycie życia” dla pary archeologów. Jednak nasza historia jeszcze się nawet nie zaczęła...



Rok później oczom badaczy ukazuje się prawdziwe arcydzieło! Coś, przy czym bledną wszystkie poprzednio znalezione skarby razem wzięte! Ukazuje się w sensie dosłownym, dopiero wtedy bowiem zostaje oczyszczone z zanieczyszczeń i opuszcza pudło, w którym zbierano wszystkie mniej ciekawe, jak się wydawało na początku, znaleziska - rzecz normalna przy odkryciach archeologicznych. Obok leżały przecież precjoza ze złota, kości słoniowej i półszlachetnych kamieni.

To coś, to mała, żółto-brązowa pieczęć z agatu, wielkości 3,6 x 2 cm (!) Nie w wielkości jednak geniusz, ale w tym co jest przedstawione, a raczej w jaki sposób jest przedstawione. Przed nami scena walki.

Trzy postacie: wojownik z mieczem zadaje właśnie śmiertelny cios przeciwnikowi uzbrojonemu w wielką tarczę, włócznię i hełm.

U ich stóp trzeci, martwy już nieszczęśnik, z nienaturalnie powyginanym ciałem.

Mistrzostwo wykonania jest zupełnie nieprawdopodobne. Już na pierwszy rzut oka widać, że mamy do czynienia z arcydziełem. Po pierwsze trudno zrozumieć, w jaki sposób autorowi udało się oddać tak drobne szczegóły, skoro dzisiaj nie widzimy ich bez szkła powiększającego? (wynaleziono je dopiero w średniowieczu). Po drugie jakość przedstawienia ludzkiego ciała – ekspresja, muskultura, doskonałość proporcji - osiąga poziom co najmniej Grecji klasycznej, czyli wyprzedza swój czas o 1000 lat!



Najważniejsze jednak jest absolutne mistrzostwo zakomponowania tej sceny i wpisania jej w romboidalny kształt, uchwycenia wyjątkowej chwili i niesamowitej dynamiki układu trzech splecionych postaci. Agresja i brawura wojownika z mieczem są tak sugestywne, że wywołują dreszcz przerażenia, u każdego kto ogląda tę scenę.

Ponadczasowe i idealnie doskonałe. Nie da się już bardziej, lepiej czy dokładniej. Skończone i zamknięte dzieło sztuki.

Dlaczego jednak nas to zadziwia? Czyżbyśmy mieli wciąż zakorzenione przekonanie, że kiedyś człowiek był mniej rozwinięty, może nawet bardziej prymitywny, a z czasem dopiero się uczył, rozwijał umiejętności i wzbogacał artystyczną wyobraźnię, wytwarzając



coraz doskonalsze dzieła sztuki? Ale przecież dzieła Fidiasza nie są w najmniejszym stopniu mniej doskonałe niż prace Michała Anioła czy Rodina. To może pytanie jest źle postawione? Może powinniśmy się raczej dziwić, jak to się dzieje, że ciągle zachwyca nas jakaś mała pieczęć wykonana 3500 lat temu? Że uczucia, które kierowały autorem, wciąż są nam bliskie i z łatwością je rozpoznajemy; szczególnie te najbardziej podstawowe uczucia: triumf i tragedia, strach i ból, poczucie siły i sława zwycięstwa. Ale także mistrzostwo warsztatu artystycznego, z całą jego różnorodnością środków wyrazu. Czyli sztuka jako uniwersalny, ponadczasowy język?

W relacjach na temat naszej pieczęci<sup>11</sup> z agatu powtarza się jeden motyw: konieczność zrewidowania naszych wyobrażeń na temat historii kultury, w szczególności kultury mykeńskiej i dwóch sąsia-

dujących, czyli minojskiej i greckiej. Konieczność napisania historii na nowo.

Czy rzeczywiście? Czy rzeczywiście jest to możliwe i zostanie dokonane? Czy mykeński Leonardo będzie rzeczywiście miał taką siłę rażenia? Chociaż porównanie do włoskiego geniusza nie jest właściwie uprawnione. Leonardo miał pokrewnych mu artystów, zarówno poprzedników jak i następców. Autor pieczęci Wojownika



Gryfa nie ma nic. Oprócz tego słynnego okazu, tylko w tym grobowcu znaleziono 40 innych pieczęci. Żadna z nich nie zawiera nawet cienia mistrzostwa wojownika z agatu (mimo, że przedstawiają często tę samą scenę). Pieczęć z Pylos stoi samotnie jako przedmiot wyjątkowy i niezwykle trudny do zrozumienia w kontekście swojej epoki (na ile możemy ją obecnie poznać). Powiedzieć, że wyprzedza swój czas o 1000 lat, to właściwie nic nie powiedzieć. Bo niby dlaczego nie o 3000 lat? Michał Anioł mógłby może wykonać taki przedmiot (zawiera one pewne pokrewne mu cechy - dokładność obserwacji ludzkiego ciała, pewien "manieryzm" pozy walczących), ale nie wykonał. Osobiście wydaje mi się, że zabrakłoby mu pewnej prostoty, siły i brutalności. Pieczęć Wojownika Gryfa jest tak wyjątkowa, że próba jej zrozumienia i wytłumaczenia podsuwa właściwie dwie możliwości: albo to falsyfikat albo dzieło kosmitów! Chociaż po krótkim namyśle, należy odrzucić także i te możliwości.

Bo co to za falsyfikat skoro cechy geniuszu widoczne są na pierwszy rzut oka? No i jakim sposobem kosmici mieliby tak dobrze znać naturę ziemskiej twórczości artystycznej i naszych oczekiwań?

Wydaje się zatem, że pieczęć Wojownika Gryfa pozostanie zbyt wyjątkowa i zbyt niewytłumaczalna aby mogła cokolwiek zmienić w naszych wyobrażeniach na temat odległych epok. Badacze i archiwiści mają zbyt wiele dowodów, że generalnie było tak, jak na Krecie w Knossos, w Pałacu Nestora w Pylos, albo za czasów Peryklesa w Atenach. A Wojownik z pieczęci z agatu pozostanie dowodem, że prawdziwy geniusz artystyczny może objawić się zawsze, w każdej epoce, nawet bez przygotowania, zapowiedzi poprzedników i pokrewnych prądów.

I to co najbardziej godne podziwu: ciągle mamy wystarczająco dużo wrażliwości aby takie prawdziwe piękno dostrzec.



*A tak podobno wyglądał Wojownik Gryfa. Oczywiście współczesna rekonstrukcja komputerowa.*





## Korfu – samochodowa ballada

Nieodłącznym elementem krajobrazu wyspy Korfu<sup>12</sup> są porzucone samochody. Chociaż “porzucone” to właściwie nie najlepsze słowo. Sugeruje ono, że ktoś niedbale zostawił samochód w przypadkowym miejscu - a tu z pewnością nie o to chodzi. Na Korfu stare samochody są wszechobecne, ale nie stoją wcale w przypadkowych miejscach. Chodzi oczywiście o te pojazdy, które już nigdzie nie pojadą. Właściciele zostawili je na poboczu drogi, w gaju oliwnym, albo w starym garażu czy na szczycie góry, żeby rozpadły się na czynniki pierwsze i wróciły tam gdzie ich miejsce, czyli do matki natury. Zawsze stoją tak, żeby nikomu nie przeszkadzały. Te samochody są naprawdę stare. Jeśli znam się nieco na motoryzacji, to te modele mają co najmniej 30-40 lat. Widać, że służyły właścicielom wiernie przez długi czas, mają przetarte na wylot siedzenia, kierownice wychudłe od ciągłego obracania, a rdza zdążyła się w nich rozgościć na długo przed nieuchronną emeryturą. Zawsze są w jakiś sposób zadbane: jeśli stoją na poboczu stromej drogi, mają duże

kamienie podłożone pod koła, żeby nie stoczyły się w przepaść; jeśli klapa przednia już się nie domyka, duży kamień leży na masce, żeby wiatr jej nie porwał. Sportowa Lancia z początku lat 70-tych XX wieku jest przykryta pokrowcem, mimo że pierwsze krzewy wyrastają już z jej rozpadających się siedzeń.

Mieszkańcy Korfu mają niezwykłą umiejętność ustawiania swoich zdemobilizowanych pojazdów w urokliwych miejscach. A może to miejsca stają się urokliwe dzięki umiejętnemu zakomponowaniu całej sceny? Te większe, z towarową paką, stoją często w gajach oliwnych, wśród 300-letnich drzewek, bo skoro kiedyś woziły oliwki do tłoczni, ich wieczny odpoczynek w tym miejscu wydaje się bardziej naturalny. Osobowy ford z końca lat 60-tych stoi na sporej łące, regularnie koszonej. Ale nie na środku, czy na krawędzi, tylko lekko z boku, w miejscu które raz dla niego wybrane wydaje się idealne, zgodnie z odwiecznymi zasadami proporcji. Łąka jest koszona, ale nie do końca, tam gdzie stoi samochód chaszcze rosną wokół niego bez przeszkód, jakby chciały wchłonąć mechaniczny kiedyś pojazd



do roślinnego świata.

Samochody na Korfu starzeją się pięknie. Wilgotny klimat, słony wiatr i dużo słońca sprawiają, że rdza ma czysty, głęboko brązowy odcień i przeżera nawet zamknięte profile ram małych ciężarówek, ze skutecznością fal morskich, drążących podwodne jaskinie na północnym wybrzeżu wyspy. Najwcześniej pękają opony – jakby chciały ostatecznie oznajmić, że nigdzie więcej nie pojedą. Samo-

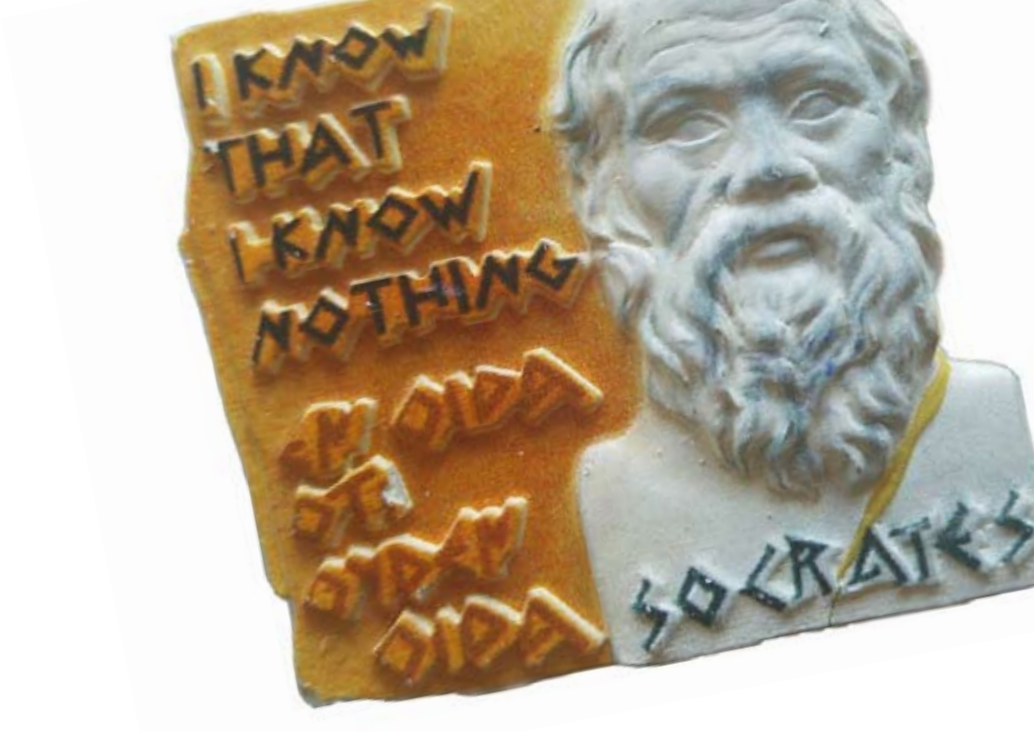


chód przysiada nieco niżej na felgach, jakby chciał bardziej wgryźć się w ziemię i powoli zniknąć. W tych miejscach nawet na asfalcie zbiera się nieco gleby i od razu wyrasta tam trawa, a ruchliwy kiedyś wehikuł przestrzeni zyskuje ostateczne zakorzenienie. Rośliny wyrastają mu też w innych miejscach: ze zderzaków, z rynienek przed przednią szybą, z siedzeń czy bagażnika, jeśli tylko nie ma w nim już szyb. Dawny samochód staje się powoli częścią natury. Motoryzacja na Korfu jest chyba zbyt młoda, żeby dało się zaobser-

wować całkowitą destrukcję jakiegoś mechanicznego pojazdu. Wydaje się, że wszystkie one są raczej na początku swojej drogi w zaświaty. Jednak daleko im do trwałości świątyń czy posągów starożytnych. Ich okres połowicznego rozpadu liczyć należy raczej w dziesiątkach, a nie setkach lat. Tyle tylko, że jest ich znacznie więcej niż świątyń, a więc bardziej rzucają się w oczy.

Umierające samochody najbardziej zaskoczyły mnie chyba tego dnia, kiedy przez kilka godzin wspinałem się na górę – jedną z najwyższych w południowej części wyspy. Okazało się, że na samym szczycie, w miejscu najbardziej oddalonym i niedostępnym jest prawdziwe cmentarzysko starych pojazdów. Poustawiane w równych rzędach jak pluton wojska, przeżyły swoje maski do słońca. Czyżby ze szczytu góry było bliżej do podziemnego królestwa Hadesa?





## Tajemnica magnetycznego napisu

Kupiłem sobie kiedyś magnes na lodówkę. Taki mały, gipsowy, odbity ze sztancy - tradycyjna pamiątka z wakacyjnych wojaży. Nie ma na nim morza, wiatraków, ani greckiego osiołka. Jest Sokrates i jego najśłynniejsza formuła: "Wiem, że nic nie wiem".

W małym sklepie spożywczym w Litochoro - zaraz obok 55 Peaks Outdoor Store - były oliwa i oliwki własnej produkcji, trochę prawdziwych owoców i warzyw – fantazyjnie powykęcanych, sporo innych różności i nie wiedzieć czemu, kilka nietypowych magnesów. Może właściciel czytywał Platona wieczorami i stąd ten Sokrates? W każdym razie uczył mnie jak wymawiać w oryginale słynną starożytną sentencję. Powtarzałem, powtarzałem, a po kilku dniach zapomniałem. Od czego jednak internet. Wstukałem "I know, that

"I know nothing" i dostałem szybką odpowiedź, że po grecku to będzie: "ξέρω, ὅτι δεν ξέρω τίποτα" [Xéro óti den xéro típota]. Teraz byłem pilniejszy, pomyślałem, że dobrze będzie rozpocząć naukę greckiego od takiej mądrej formuły i wykułem na blachę.

Po pewnym czasie zdałem sobie jednak sprawę, że na moim magnesie jest inny napis. Sokrates powiedział raczej: "ἐν οἷδα ὅτι οὐδὲν οἷδα" [en oída oti ouden oída]. Po przetłumaczeniu na angielski dostałem ponownie znane z magnesu "I know that I know nothing". Hm..., niby się zgadza, ale to dosyć odległe od pierwotnego "Xero oti den xero..." To co w końcu ten Sokrates powiedział? A stawiając to pytanie w nieco bardziej ogólny sposób: czego możemy się dowiedzieć o greckiej kulturze poprzez analizę różnych wersji słynnej starożytnej sentencji?



Język grecki jest najstarszym z używanych współcześnie języków. Wg przybliżonych szacunków ma około 3 tysięcy lat. Wiek języka rozumiem tutaj jako wiek najstarszych dokumentów zapisanych alfabetem, który możemy określić jako grecki. Dwie starsze kultury,

które uznajemy jako proto-greckie - minojska na Krecie i mykeńska na Peloponezie - używały pisma linearnego A i B, które nie było właściwie alfabetem, a już na pewno nie greckim. Niemniej, nie jest rozstrzygnięte jakim językiem mówili ludzie w tamtym okresie (XXV-XII w. p.n.e.) To że odczytane zostało pismo linearne B znaczy tylko, że rozumiemy znaczenie tekstów w nim zapisanych (w



całości właściwie buchalteryjne zapiski, brak literatury pięknej), ale nie wiemy nic o brzmieniu słów, i nie możemy przesądzić czy była to jakaś przed historyczna wersja greki czy całkowicie inny język<sup>13</sup>. Jeśli język ma 3 tys lat, oczywiście jest że w tym okresie podlegał wielu zmianom. Większość Polaków ma wielkie problemy ze zrozumieniem języka Juliusza Słowackiego, który żył 200 lat temu, nic dziwnego, że współcześni Grecy nie rozumieją, bez specjalnego przygotowania, języka Homera, który żył 2800 lat temu! Niemniej jest to ten sam język, który zachował część struktur gramatycznych i bardzo wiele archaicznych słów i świadomość tej archaiczności jest

wśród Greków obecna. Wiele razy słyszałem w trakcie rozmowy jak ktoś z moich greckich znajomych mówi: to jest starożytne słowo. Warto też zdać sobie sprawę, że ta ciągłość językowa kultury greckiej jest czymś zupełnie wyjątkowym. Łacina klasycznego Rzymu jest znacznie młodsza od greki, ale dzisiaj nad Tybrem mówi się po włosku, nad Sekwaną po francusku, a na Nizinie Wołoskiej po rumuńsku. Mało tego, historyczna Grecja przeżyła od czasów Peryklesa znacznie więcej zasadniczych zmian kulturowych (i państwowych) niż obszar Francji czy Hiszpanii od czasów Juliusza Cezara. Klasyczne Ateny, imperium Aleksandra Wielkiego i hellenizm, panowanie Rzymu, Bizancjum i okupacja turecka - by wymienić tylko te najważniejsze. Zmiany te powinny zmyć grekę z powierzchni ziemi i zastąpić ją tuzinem innych języków, a jednak tak się nie stało. Dodatkowo, przez wiele setek lat istnienia Grecja nie tworzyła jednego organizmu państwowego, sprzyjającego unifikacji, także językowej, a warunki geograficzne: ogromna ilość wysp - oddzielnych światów i gór, powinny przyczynić się raczej rozbicia niż jedności. Wszystko to prawda, niemniej ciągle nie wiem, co naprawdę powiedział Sokrates? A raczej w jaki sposób to powiedział? Język grecki ma 3 tysiące lat ciągłej historii, ale w trakcie swego rozwoju przeszedł kilka istotnie różniących się etapów. W pewnym uproszczeniu można ten cykl przedstawić w postaci następującego ciągu: greka archaiczna - greka klasyczna - greka hellenistyczna (koine) - greka ludowa (demotyka) - greka oczyszczona (katharewusa) - greka współczesna. I jeszcze do niedawna żywa była nad Morzem Egejskim dyskusja, którą wersją języka powinni się posługiwać współcześni mieszkańcy Hellady. Spór toczył się między wyznawcami katharewusy, czyli oczyszczonego z późniejszych naleciałości języka klasycznego, a zwolennikami demotyki czyli uproszczonej,

“ludowej” greki, która zaczęła się rozwijać już w średniowieczu. Przez pewien czas górą byli przedstawiciele szkoły klasycznej, dopiero w 1974 roku ostatecznie zwyciężyła opcja demotyki i teraz jest to oficjalny język obowiązujący w Grecji.



Niemniej, Grecy na co dzień mają “do dyspozycji” niebywale bogactwo językowe. Przede wszystkim, przez sześć lat podstawowej edukacji szkolnej uczą się codziennie (!) klasycznego języka Platona i Arystotelesa. W telewizji i w gazecie mają demotyko, ale jeśli idą do cerkwi, słuchają liturgii i fragmentów ewangelii w koine, czyli języku hellenistycznej Grecji, w którym spisany jest (częściowo) Nowy Testament. Jak mają na półce jakieś książki wydane przed rokiem 1974, są one prawdopodobnie w katharewusie, ale jak kupują dzisiaj w księgarni Iliadę Homera albo Uczętę Platona otrzymują wydanie dwujęzyczne, w którym po lewej stronie jest tekst oryginalny, a po prawej współczesny. I co mnie bardzo fascynuje, tekst oryginalny jest zawsze o jedną trzecią krótszy niż współczesny. Za krótko mieszkam w Grecji aby rozstrzygać jaki to wszystko ma wpływ na mentalność zbiorową, myślę jednak, że Grecy lubią swój

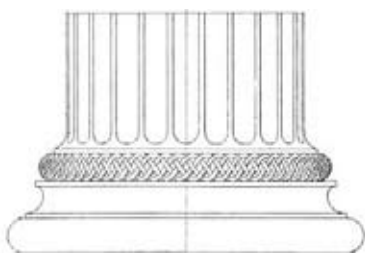
język. Lubią go używać, rozmawiają dużo i chętnie, odnoszę też wrażenie, że jest w tym jakaś dbałość o słowo, jakby większa celebrowanie języka niż w innych krajach.

Pamiętam moje pierwsze zetknięcie z "żywą", klasyczną greką. To nie było nad Morzem Egejskim tylko w małej wiosce pod Lublinem. Przedstawienie Orkiestry Antycznej Teatru Gardzienice. Hymny do Dionizosa, fragmenty misterii orfickich, modlitwy do Zeusa. Muzyka, śpiew i taniec. Przyjechałem z dosyć stereotypowym wyobrażeniem, słonecznej, jasnej kultury greckiej, a więc także muzyki, a tu nagle dzikie, ekstatyczne dźwięki, na granicy dysonansu. Mroczny, nieco twardy ale melodyjny język. Byłem w szoku. Podobnie jak kilka razy później, zrywając kolejne warstwy stereotypowych wyobrażeń i dowiadując się, że klasyczne świątynie wcale nie były białe, tylko pomalowane na wiele kolorów, mity greckie nie są odpowiednikiem świętych ksiąg typu Biblia czy Koran i dlatego



trudno na ich podstawie tworzyć obraz starożytnej religii, a Grecja ma najdłuższą linię brzegową na świecie. Ciągłe zresztą słuchając nagrań pieśni Iliady w oryginale (na kanale Youtube dużo przykładów) nie mogę wyjść z podziwu jak bardzo mowa Homera różni się od języka używanego na co dzień przez moich przyjaciół w Litochoro.

W której zatem wersji języka greckiego zapisana jest sentencja Sokratesa na moim magnesie? Paradoksalnie, właściwie w żadnej! Okazuje się, że tego najsłynniejszego, kojarzonego z nim zdania, Sokrates nigdy nie wypowiedział. Zostało mu przypisane w późnej starożytności lub nawet w średniowieczu. Mało tego. Jest to prawdopodobnie tłumaczenie z łacińskiego oryginału. Ale jeśli zrobił to ktoś w średniowieczu, czyli w epoce panowania koine (greka hellenistyczna), uczynił to zgodnie z regułami klasycznej greki, czyli tak jak Sokrates by to powiedział. Nie było to zresztą takie trudne, bo wg dokładnie już poświadczonych relacji Platona czy Diogenesa Laertoisa, Sokrates rzeczywiście wypowiadał zdania bardzo zbliżone. Widać zatem, że językowe ścieżki bywają czasami bardzo poplątane. Ale czy przez to nie większa przyjemność podążać ich śladem?





# Mapy mojego świata

*Mt OLYMPUS, skala 1:25 000, seria Topo 25, Wydawnictwo Anavasi Maps & Guides, Athens., Macedonia 6.11, GPS Compatible, Hiking Map, O2, E4, EGSA 87 + WGS84. Data wydania: 2014. Dorysowane kilka nieistniejących ścieżek. Brak dwóch dolnych segmentów, po prawej stronie, rozpuszczonych przez wielką ulewę w Ano Pigadi. Wszystkie zgięcia podklejone taśmą.*

Pierwszym i najważniejszym etapem planowania każdej mojej podróży jest zakup mapy. Takiej tradycyjnej, papierowej, składanej wiele razy, która po rozłożeniu prawie nigdy nie mieści się na stole, a na zgięciach szybko robią się dziury i widać podszewkę świata. Oczywiście, czytam też przewodniki, oglądam zdjęcia i wypytuję znajomych. Ale mapa jest zawsze na pierwszym miejscu. Wybieram ją starannie, sprawdzam różne wersje, odwzorowania i poziomice, treść turystyczną i skale. Niekoniecznie musi pokrywać cały obszar, który mnie interesuje – często wolę mieć tylko fragment, ale taki,



który zachęca i obiecuje.

Czasami mapę już mam i wystarczy tylko wyciągnąć ją z wielkiego kartonowego pudła, w którym trzymam te moje relikwie. Bo mapy kupuję także na miejscu - bo są ładniejsze, dokładniejsze, obejmują ciekawszy rejon lub mają po prostu większą siłę przyciągania - i traktuję je wtedy jak najcenniejszą pamiątkę, z której kiedyś wykiełkuje być może następna wyprawa. Studiowanie papierowych zatok i przełęcz nie raz stało się początkiem nowego wyzwania. Wiem, nie jestem specjalnie oryginalny, poszukiwacze skarbów mórz południowych też zwykle zaczynali od mapy...

Zagori. Skala... Wydawnictwo...

Dlaczego jednak mapa, a nie piękne zdjęcie, relacja z podróży, powieść czy film dokumentalny zachęca mnie żeby wyjść z domu i szukać nieznanego? Czy dlatego, że w pojedynczym błysku spojrzenia oferuje dostęp do wielkiego kawałka przestrzeni? Inaczej niż zdjęcie, które zawsze jest pojedyncze, szczegółowe i lokalne.

I zupełnie inaczej niż wszelkie narracje czasowe, typu film, opowieść czy przewodnik. Mapa wychodzi od tego co dobrze znane, używa uniwersalnych "klocków" – ustalonych kolorów i oczywistych symboli, poziomic, schematów i odwzorowań, ale przedstawia świat nieznany i pozostawia ogromną przestrzeń dla wyobraźni.

Mapa jest nieustającą tajemnicą. Nawet jak przedstawia w miarę oswojony już fragment mojego świata, czyli po powrocie do domu, kiedy rozkładam ją na stole i odpływam we wspomnienia, ciągle przecież widzę znacznie więcej miejsc, w których nie byłem, niż tych bardziej znanych.

I zachwycam się moją mapą także dlatego, że zawiera nazwy: Litoro, Mitikas, Ateny, Metsovo, Korfu. Gromadzi je na jednej po-



wierzchni i układu w mozaikę wzajemnego sąsiedztwa, zależności przestrzennych, ale uwalnia od dyktatury czasu. Nazwy gór, przełęczy, wysp, wiosek i miast, wszystkie one są równie łatwo dostępne i zapraszające. Bez trudu układają się w trasy wirtualnych, a czasami rzeczywistych, podróży. Mapa otwiera przyszłość. Ale mapa zamyka także przeszłość. We wspomnieniach wszystkie miejsca, w których byłem układają się obok siebie, w pewnej bezczasowości i szybko zapominam co było wcześniej, a co później. Zadanie ich organizacji przejmuje mapa, do której podczipione są w różnych znaczących miejscach i tkwią tam jak rodziniki w cieście, już na zawsze.

I zachwycam się moją mapą także dlatego, że daje mi prawie nieograniczoną możliwość wyboru. Odkrywam jakiś region jako interesujący jako całość, a dopiero później decyduję co chciałbym zoba-



mapy - kształt! Dokładnie zdefiniowany, oddzielający dwa podstawowe żywioły. Bo kształt morza staje się czasami równie ważny jak kształt lądu. Nie sztuka rozbić się o skały, sztuka przepłynąć między Skiatos a Skopelos. I nawet jak moja wyobraźnia nie karmi się marzeniami o podróżach w łodzi Odyseusza, nieustannie układam w głowie plany podróży krawędzią lądu. Sprawdzam gdzie droga przebiega wzdłuż samego wybrzeża, która ścieżka prowadzi prawie po plaży i czy da się obejść wyspę Samatrakę ani na chwilę nie tracąc z oczu widoku morza. Pamiętam też wydłużoną pętlę którą można objechać Półwysep Mani, na końcu Peloponezu albo ścieżkę wzdłuż południowych wybrzeży Krety, którą da się iść kilka dni, mając cały czas Morze Libijskie na wyciągnięcie ręki, ze świadomością, że południowa krawędź Europy jest właśnie tutaj.



Ale mieszkając w Litochoro mam też “żywą” mapę prawie codziennie przed oczami. Olimp od wschodniej strony nie zaczyna się łagodnie, jak Tatry w Zakopanem. Kiedy wracam nawet z małej wycieczki, z polany Gkolna albo z urwiska Zilnia widzę świat jak z pokładu samolotu. Czerwone dachy Litochoro, najbliższe większe

miasto Katerini, zarys linii brzegowej Zatoki Termajskiej, Półwysep Halkidiki po drugiej stronie, a przede wszystkim inne góry: zbocza małego Olimpu, ostry stożek Kissavos, a przy dobrej widoczności Górę Atos daleko na horyzoncie. Na tej żywej mapie bez trudu rozpoznaję miejsca gdzie już byłem, a skąd musiałem zawrócić i teraz te nie dokończone miejsca wołają do mnie z wyrzutem, jak przerwany w połowie sen.



Z pewnym zdziwieniem obserwuję też, jak mapa mojej wyobraźni coraz bardziej zakotwicza się pod Olimpem. To stąd zaczynam w myślach i tu wracam. Z perspektywy Litochoro ustawiam w wymagowanej przestrzeni to co dalej i to co bliżej. Kraków, Ustrzyki Górne, Babadag, Ateny - wszystko zmieniło nagle swoje położenie. Saloniki, Jezioro Ohrydzkie czy górę Parnas mam na wyciągnięcie ręki, nie dalej niż dwa-trzy dni jazdy rowerem, podczas gdy Puszcza Białowieska albo Muczne wywędrowały nagle prawie na koniec świata. To nie do wiary, że do Afryki mam stąd bliżej niż

do Warszawy.

Z tego co powyżej, widać już że moja miłość do map nie ogranicza się tylko do wersji papierowych. Google Maps i wszystkie podobne aplikacje<sup>16</sup> oferują możliwości zupełnie niedostępne w wersjach analogowych. Oczywiście, każdy rejon wygląda na nich z grubsza podobnie, jednak tę niedogodność rekompensuje w dużym stopniu możliwość „scrolowania”. Zachwyca mnie łatwość przejścia w kilka sekund od widoku całego kontynentu, do szczegółów Zatoki Nawarino na południowych wybrzeżach Peloponezu, albo rozmieszczenia domów w opuszczonej wiosce Skotina na zboczach gór Pieria. Dodatkowo, możliwość przełączania się na widok satelitarny, nie raz wyratowała mnie z opresji całkowitego zagubienia w przepastnych chaszcach greckich bezdroży. Nawet niewielka zmiana odcienia drzew na takim widoku, daje nadzieję na znalezienie powrotnej drogi do cywilizacji. A kiedy wyobraźnia staje się zbyt leniwa, uruchamiam podgląd zdjęć na mapie albo street view i mam świat w 3D. Narzędzie prawie idealne.



Muszę jednak przyznać, że w terenie znacznie rzadziej używam mapy niż w domu. Dokładność i idealna zgodność z rzeczywistością mają dla mnie znaczenie właściwie drugorzędne. Bo tak naprawdę, to nawet lubię się zgubić. W końcu jest to często nieodłączna część przygody. I jeśli sens rzeczywistości rodzi się na mapie, czymże jest niedokładność topograficzna jej realizacji? A archety-

pem mapy pozostaną zawsze te stare sztychy ze słynnym napisem “Here be dragons” na krańcach znanego świata i z różnymi mało prawdopodobnymi, pojawiającymi się i znikającymi wyspami, nazywanymi phanthom islands. Istnieją lub nie, ale na pewno wyznaczają kres dostępnego nam świata. A może są już po drugiej stronie...?



### **Dodatek dla biegających czytelników**

W mojej przestrzeni wyobraźni, mapy zyskały bardzo na znaczeniu kilka lat temu, kiedy zacząłem biegać po górach, w zawodach na dystansach ultra (od 40 km do 170 km). Sport ostatnio bardzo popularny w wielu krajach. Zawody takie trwają zwykle wiele godzin, a nawet dni. Organizatorzy prawie zawsze udostępniają wcześniej mapę z zaznaczoną trasą biegu. Jako z jednej strony reklamę atrakcyjności danego regionu, a z drugiej, jako zupełnie praktyczne narzędzie minimalizujące szanse zagubienia. Zawsze studiuję te mapy z wielkim zainteresowaniem i traktuję jako jeden z podstawowych argumentów wyboru tego właśnie biegu przed innymi. Preferuję trasy “magiczne”, ustanawiające jakiś szczególny związek z przestrzenią: obiegnięcie całego masywu Mont Blanc (UTMB - jeden z najsłynniejszych biegów ultra na świecie, 170 km na pograniczu Francji, Włoch i Szwajcarii) czy obiegnięcie całej śródziemnomorskiej wyspy Hydra niedaleko wybrzeży Peloponezu (Hydra Trail Event 40 km). Wyspy można też przebiegać na wskroś, z plaży po

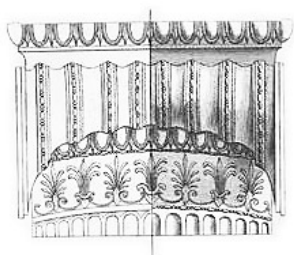
jednej stronie, do plaży po drugiej, przez sam środek, zahaczając koniecznie o najwyższy szczyt (Transgrancanaria, 125-kilometrowy bieg przez jedną z wysp Kanaryjskich albo z plaży na szczyt i z powrotem (Spike w trakcie zawodów Amorgos Trail Challenge). Bez trudności da się też znaleźć trasy z dziedzictwem kulturowym w tle. Olympus Mythical Trail (106 km) wyprowadza biegaczy na święta górę starożytnych Greków, angielski The Wall (112 km) pro-



wadzi wzdłuż Muru Hadriana, a francuski Grand Trail des Templiers (76 km) po miejscach związanych z historią Templariuszy. Mapa biegu ultra pozwala łatwiej zaakceptować takie wyzwanie. Nawet doświadczeni zawodnicy zdają sobie sprawę, że dystans 170 km jest zupełnie absurdalny. Daleko powyżej wszelkich prób treningowych (na treningu nikt nie biega więcej niż 35 km), jakoś-

ciowo zupełnie inny od – o wiele bardziej popularnych – dystansów 70-100 km. Taki ekstremalny bieg 100-milowy straszy przede wszystkim nie dającym się ogarnąć czasem wysiłku. Popularne stwierdzenie “wszystko może się zdarzyć” nie jest nigdzie bardziej prawdziwe. Rodopi Ultra Trail na północy Grecji ma wszystko: ciemność długiej październikowej nocy, chłód poranka, upał w południe, często burze z ulewami deszczu. U podnóża Olimpu na OMT100 na starcie jest ciągle 30 stopni C, ale o wschodzie słońca na szczycie już tylko 5. Kluczowa jest druga noc bez snu. Pojawia się skrajne zmęczenie i zniechęcenie, czasami halucynacje, problemy z orientacją, sen w marszu...

Trasa biegu, tak “łatwo” narysowana na mapie, możliwa do ogarnięcia jednym krótkim spojrzeniem, oswaja problem. Podpowiada, że to jednak jest możliwe. Dodaje cały zestaw własnych znaków i symboli – punktów żywieniowych i kontrolnych, odległości kilometrowych, limitów czasowych i punktów medycznych, znormalizowaną ocenę trudności i informację o ilości punktów ITRA, które każdy zawodnik otrzyma jeśli ukończy bieg. W ogrom pogmatwanej przestrzeni mapa wprowadza jedną, prawdziwą i przyjazną linię, która jak nić Ariadny prowadzi współczesnych Tezeusza do bezpiecznej mety.



# Olympus Mythical Trail

Spośród wielu greckich wynalazków sport zrobił chyba największą karierę. Filozofii prawie nikt już nie uprawia, nauki prawie nikt już nie ceni, a sport święci triumfy. Oczywiście, od czasów pierwszej olimpiady<sup>17</sup> zmieniło się to i owo, ale główne zasady pozostały te same: szlachetne współzawodnictwo, szybciej, dalej mocniej, przekraczaj własne granice. To ostatnie wezwanie najlepiej charakteryzuje chyba sport amatorski, a już idealnie pasuje do biegów masowych rozgrywanych w górach. Nie tylko jednak. Wydaje się że cała kultura współczesna nastawiona jest na przekraczanie granic,



w różnych dziedzinach. W każdym razie wielu ludzi lubi opisywać w ten sposób swoją aktywność. I trudno się im dziwić skoro tyle emocji wywołuje tak prozaiczna czynność jak bieganie. Mówię to także z własnego doświadczenia. Za każdym razem, kiedy staję na starcie zawodów zadaje sobie pytanie: co skłania tych wszystkich ludzi do podejmowania tak ogromnego wysiłku? Co skłania mnie do podążania ich śladem? Mówię teraz o biegach ultra, które mają 100, 170 albo jeszcze więcej kilometrów długości i trwają 24 godziny, a nawet kilka dni.

Jeśli zatem przekraczać własne granice to dlaczego nie na Olimpie, najwyższej górze Grecji, która z definicji jest granicą, między światem bogów a ludzi oczywiście. I najlepiej w lipcu, kiedy szanse na naprawdę ekstremalne temperatury są największe. W całym masywie góry bogów rozgrywanych jest co najmniej 10 różnych zawo-



dów, sam startowałem w kilku, ale Olympus Mythical Trail z 2017 roku to było doświadczenie graniczne, nie porównywalne z niczym, ani wcześniej, ani potem.

Olympus Mythical Trail uznawany jest za najtrudniejszy bieg górski w Grecji<sup>18</sup>. Nie da się tego oczywiście w precyzyjny sposób zmierzyć, ale kiedy w trakcie innych zawodów wspominam, że biegłem OMT 100, za każdym razem widzę błysk w oczach i słyszę słowa podziwu. Trasa prowadzi wokół całego masywu, częściowo po starych, zapomnianych ścieżkach, przywróconych do życia przez organizatorów. Po drodze nie ma żadnych wiosek ani stałych siedzib ludzkich. Wrażenie że znajduję się na granicy zamieszkłego świata, a nawet poza nią, jest dojmujące. Na żadnym innym biegu nie czułem tak mocno, że jestem tylko ja i Góra.

Bieg startuje w piątek o 17.00 z Agios Ioannis, małej polany wśród lasów, 4 km od Litochoro<sup>19</sup>. Jest bardzo ciepło, prognozy na ten dzień zapowiadają 42 stopnie w cieniu, ale chcę wierzyć, że na wysokości 600 m. n.p.m. jest nieco chłodniej. Ten początek jest przepiękny. Wysoki mieszany las, dający cień, wąska ale wygodna i cudnie poprowadzona ścieżka. Jestem tu drugi raz, i ciągle nie mogę się nadziwić jak różnorodny potrafi być ten las. Niby wszędzie drzewa, ale o wiele więcej gatunków niż u nas. Co chwilę zmienia się też poszycie, raz jest gęste i pełne krzewów, to znowu sama intensywnie zielona trawa. No i wszędzie o wiele więcej kolorów, wszystko kwitnie, jakby to był początek wiosny, a nie pełnia lata. Czasami, na otwartej przestrzeni, dochodzi więcej odgłosów, grają cykady i różne inne owady. Litochoro widać gdzieś w dole, poza tym wyraźny kształt linii brzegowej, błękit morza i półwysep Halkidiki po drugiej stronie zatoki.

Trasa OMT 100 wyraźnie dzieli się na dwa odcinki. Pierwszy

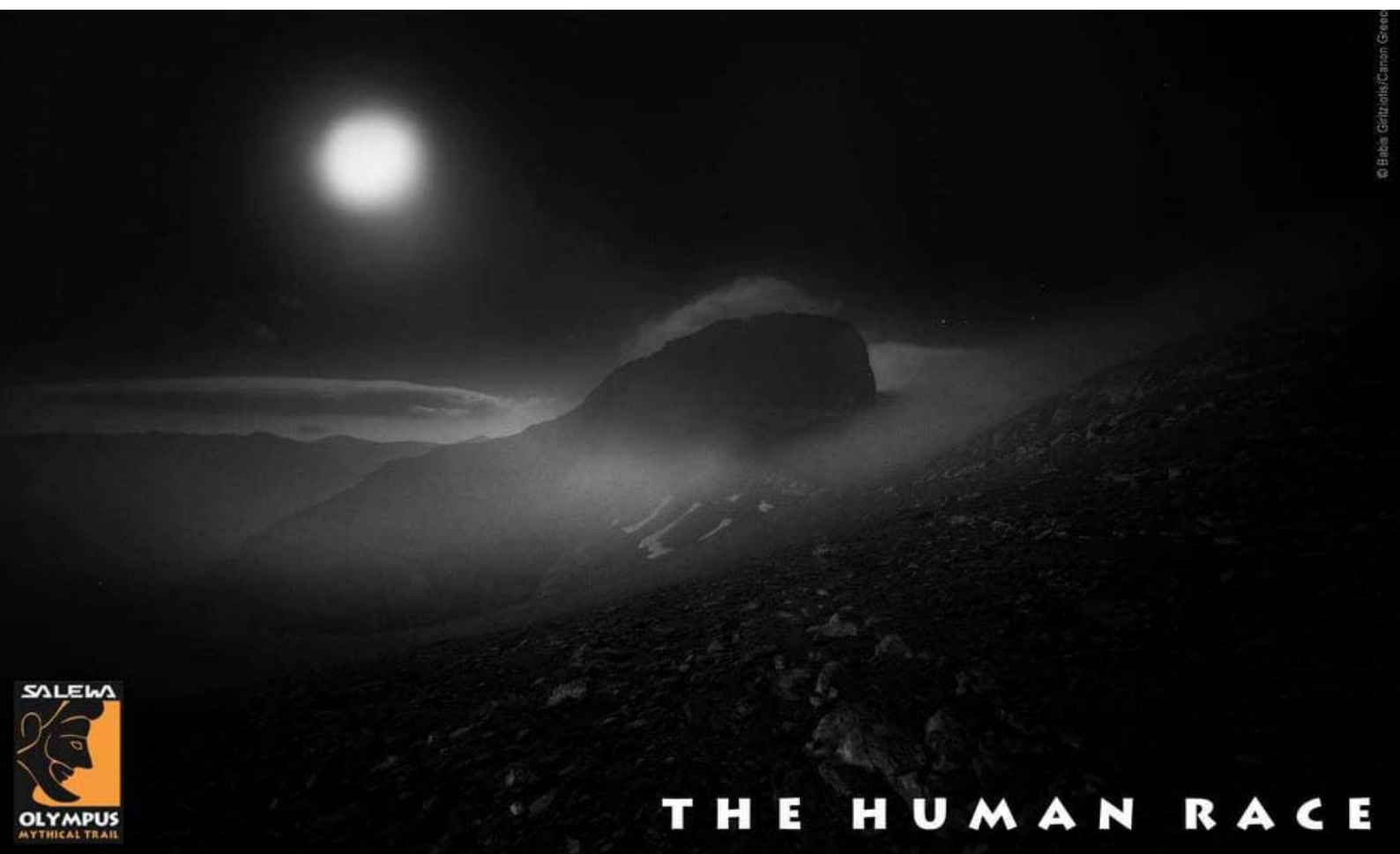
– “mała pętla” ma 32 km i prowadzi z Agios Ioanis do Litochoro. Dosyć łagodnie wbiega na 2000 metrów n.p.m., by później zbiec na 300. Druga, duża pętla, jest właściwie jednym wielkim podejściem na główną kopułę Olimpu i równie wielkim zbiegiem. W szczególności trasa jest o wiele bardziej zróżnicowana, a zbiegi i podbiegi przeplatają się znacznie częściej.



Wznosimy się coraz wyżej, robi się też coraz później, ale nie czuje żeby robiło się chłodniej, jak w zeszłym roku. Schronisko Livadaki na wysokości 2 000 m. Na zbiegu ścieżka jest równie wąska i piękna, ale droga na dół podwaja przyjemność. Przyspieszam, niesiony euforią początku, a w głębi duszy tłumaczę sobie, że powinienem jak najwięcej kilometrów przebiec w świetle dnia. W Wąwozie Enipeas robi się za to cieplej: duszne, stojące powietrze, tak gęste, że prawie da się je kroić nożem. Nie zwalniam jednak, przebiegam obok znanych miejsc: monastyr Agios Dionizios - oaza ciszy i spokoju w

środku gór i kapliczka pustelnika w skale, ze stromymi schodami. Wybiegam z wąwozu by za chwilę do niego wrócić, już w całkowych ciemnościach, zaraz obok małego oczka wodnego Lambada. Stąd jest już mniej niż kilometr do punktu żywieniowego w Litochoro. Ten pierwszy odcinek powinienem przebiec w ok. 5h 30 min, w zeszłym roku zajęło mi to 5:12, teraz jestem poniżej 5 godzin. Za szybko, oczywiście, ale kto powiedział, że szaleństwo jest racjonalne?

Głównym sprawcą całego tego zamieszania jest Lazaros Rigos - człowiek, którego wkład w rozwój biegów górskich w Grecji trudno przecenić. Jeden z pomysłodawców pierwszych zawodów rozegranych tutaj w 1986 roku<sup>20</sup>, organizator lub konsultant prawie wszystkich najważniejszych zawodów nad Morzem Egejskim, animator środowiska górskiego, jeden z współtwórców Stowarzyszenia Biegaczy Górskich w Grecji<sup>21</sup> - człowiek-instytucja. Przy tym aktywny i bardzo dobry biegacz.



Na punkcie żywieniowym okazuje się, że jestem na 8 miejscu! Zawołanie "Tak trzymaj" traktuje oczywiście jako zakłęcie niemożliwe do spełnienia, bo rzeczywistość da się oszukać, ale zwykle na krótko. Zwalniam. Obiektywnie bardzo wyraźnie, bo jest strome podejście, ale także proporcjonalnie, bo wyprzedza mnie kilku zawodników. Oszczędzam siły na dalszą część, bo prawdziwy bieg



dopiero się zaczyna. Ponownie uświadamiam sobie jedną z podstawowych cech biegów ultra - samotność. W czołówce przerwy między zawodnikami są stosunkowo duże i właściwie do końca biegnę sam. Jeśli nawet ktoś mnie wyprzedza, to robi to bardzo szybko i za chwilę znika mi z oczu. Jest noc. Nie przeszkadza mi to. To dobrze że jest noc na tym wielkim 5-godzinym podejściu, kiedy pokonuje się jakieś 2500 metrów przewyższenia. Noc przynosi wielką ciszę i spokój, chociaż wcale nie jestem senny. Świeci księżyc, ale przez

gęste liście drzew niewiele jego blasku do mnie dociera. Przyciemniam nawet czołówkę, żeby nie zakłócać tego nocnego spokoju. Biegnę powoli więc minimalne światło mi wystarcza. Pojawia się monotonia i lekkie wyczerpanie, ale staram się je celebrować, są tak ważną częścią biegów ultra. Nieuchronnie przyjdą zmiany i wiem, że z każdym krokiem zbliżam się do nich coraz bardziej.

W krajach śródziemnomorskich noc jest dłuższa niż na północy. O 5:00 jest jeszcze całkowicie ciemno, ale zbliża się koniec podejścia. Jakiś czas temu skończył się las. Wbiegam na Płaskowyż Muz i niebo zaczyna świecić. Prawie całe jest jeszcze czarno-granatowe i wysadzone gęsto gwiazdami, ale na wschodzie pojawia się już wyraźnie jaśniejsza, czerwona łuna i świat ożywa. Widać zarysy szczytów wokoło i chociaż przestrzeń ma ciągle tylko dwa wymiary, nie mam żadnych wątpliwości gdzie jestem. Świecić zaczyna też sam płaskowyż, a raczej umieszczone po prawej stronie schronisko Apostolidis i zbliżające się do niego światła czołówek innych zawodników. Wiem, że zaraz wzejdzie słońce i czas przyspieszy.

Na Olimpie mamy to szczęście, że zbieg zaczyna się dokładnie ze słońcem. A światło jest ważne, bo wąska ścieżka Zonaria, lekko opadająca w dół i trawersująca szczyty Stefani i Mitikas, zachęca do większego szaleństwa. Zaraz obok jest jednak przepaść, albo bardzo strome piargi, więc przydaje się też odrobina rozwagi.

Biegnę w zachwycie. Nowy dzień daje biegaczowi nowe siły, prawie nie czuć, że to 60-ty kilometr. Co najmniej do następnego podbiegu. Wielkiej, pochyłej ściany Skolio, o 500-metrowym przewyższeniu i luźnych kamieniach uciekających spod nóg. W tym roku daję sobie z nią radę znacznie lepiej niż w zeszłym, chociaż ciągle wspominam ją jako najtrudniejszy fragment całej trasy. Ciągle biegnę sam, czasami zatrzymuję się i robię zdjęcia ale bez większej wia-



© Babis Giritziotis/GO Experience

ry, że da się zachować wyjątkowość tej chwili.

Za Skolio zaczynają się łąki Olimpu, trawiaste murawy pokrywające wszystkie wierzchołki w rejonie Agios Antonios, najwyższego miejsca, gdzie starożytni składali ofiary Zeusowi. Lekki podbieg i znacznie trudniejszy zbieg. Ścieżka prawie nie istnieje, są tylko kępy traw, kruche, ruchome kamienie i małe schronisko, widocznego gdzieś... daleko, daleko w dole. Ścieżki nie ma też przez kilka następnych kilometrów prawie płaskiego terenu, dlatego widoczne wszędzie oznaczenia trasy namalowane na kamieniach robią nieco absurdałne wrażenie. Bez wątpliwości jestem w dzikim zakątku gór, ale łagodne kształty i świeże odcienie zieleni traw na wysokości ponad 2600 m sprawiają nieco rajske wrażenie. Gdzieś w tym rejonie ogarnia mnie ten dziwny stan określany czasami jako "runners high". Jakbym biegł zupełnie bez wysiłku i miał wrażenie że mogę to robić bez końca...

Świat łagodności kończy się dość nagle i zdecydowanie. Za prze-

łączą między szczytami Kakavrakas a Metamorfosi wszystko się zmienia. Potężna ściana, z największym na trasie zbiegiem, zakosami ciągnącymi się prawie w nieskończoność. Dokładnie na południe. Jest kilka minut po 9.00 ale za chwilę robi się naprawdę ciepło. Na scenę wkracza największy bohater tych zawodów – upał! Na zbiegu jest jeszcze po prostu gorąco, ale coraz bardziej odnoszę wrażenie, jakby afrykańska masa powietrza, który miały być tu w piątek, nieco się opóźniła i dociera właśnie teraz. Zbieg zabiera resztki sił, a dalej są dwa prawie płaskie odcinki oddzielone punktem żywieniowym, razem nie więcej niż 24 km. Trasa prowadzi przez łąki i szerokie drogi leśne, przy których drzewa rosną rzadko i nie dają wprawie wcale cienia. Nie wiem ile jest obiektywnie stopni, ale wydaje mi się, że nigdy nie czułem na sobie równie gorącego powietrza. I nawet nie chce mi się specjalnie pić, zaczynam oszczędzać wodę żeby móc wylewać ją na głowę. Ochładzanie rozgrzanego ciała odczuwam jako największą potrzebę. Przynosi ulgę tylko na chwilę, ale działa. Nie cierpię, nie padam zemdłony, nie wysycham mi w gardle, posuwam się całkiem sprawnie. Wyjątkowy żar z nieba nie przeraża mnie. Tęsknie jednak coraz bardziej radykalnie za wodą. Zaczynam rozumieć czym jest woda w Grecji. Nie jakies duży deszcz czy morze wszędzie wokoło, ale te niewielkie stróżki i źródelka, które ciekną gdzieś tam, i nie dziwię się już, że uznawane są za święte.

Wbiegam na punkt żywieniowy, tuż przy drodze, w środku lasu. Dokładnie naprzeciwko wypływa ze skały strumień z korytkiem do pojenia ludzi i zwierząt. Wody jest pod dostatkiem. Wchodzę prawie cały, polewam głowę i jestem w siódmym niebie.

Zaczynam celebrować upał. Zbliżam się coraz bardziej do mety, jestem coraz bardziej zmęczony i z jednej strony chcę już być na miej-



scu, ale z drugiej nie chce żeby skończyło się coś tak wyjątkowego. Ciepło to życie, dynamika i ruch, i teraz odczuwam o wiele bardziej niż zwykle, że jestem tego częścią. Właściwie trochę przestaje mi za-  
leżeć, żeby się zmieścić w 20 godzinach, jak w zeszłym roku, realnie oceniam też, że nie mam na to większych szans, bo nie potrafię już przyspieszyć. Na ostatnim, dwunastokilometrowym odcinku z Pi-  
gadi do Agios Ioanis są trzy małe strumienie. Wskakuję do każdego z nich i zanurzam się prawie cały. Wspominam to jako najpiękniej-  
szy odcinek biegowy w życiu.

Na mecie jestem po 20 godzinach i 18 minutach. Ciągłe jest gorąco, ledwo kilka minut po 13.00. Euforia opada bardzo powoli, w roz-  
grzanym powietrzu poruszam się jakby wolniej, mam czas na przy-  
zwyczajenie się do normalnego świata. Tylko który jest normalny? Może prawdziwe życie jest tylko w biegu, a wszystko co pomiędzy

to tylko konieczne wypełnienie?

Ze 174 osób, które wystartowały, do mety dobiegło tylko 86 (i to w przedłużonym, ze względu na upał, o jedną godzinę limicie czasu).

Jest to najmniejszy odsetek finisherów w całej historii biegu.

Pragnę jednak uspokoić biegających czytelników, którzy chcieliby wystartować w tych lub w innych zawodach w Grecji: spośród 20 moich startów nad Morzem Egejskim nigdy i nigdzie (!) nie było tak gorąco jak na OMT 2017.



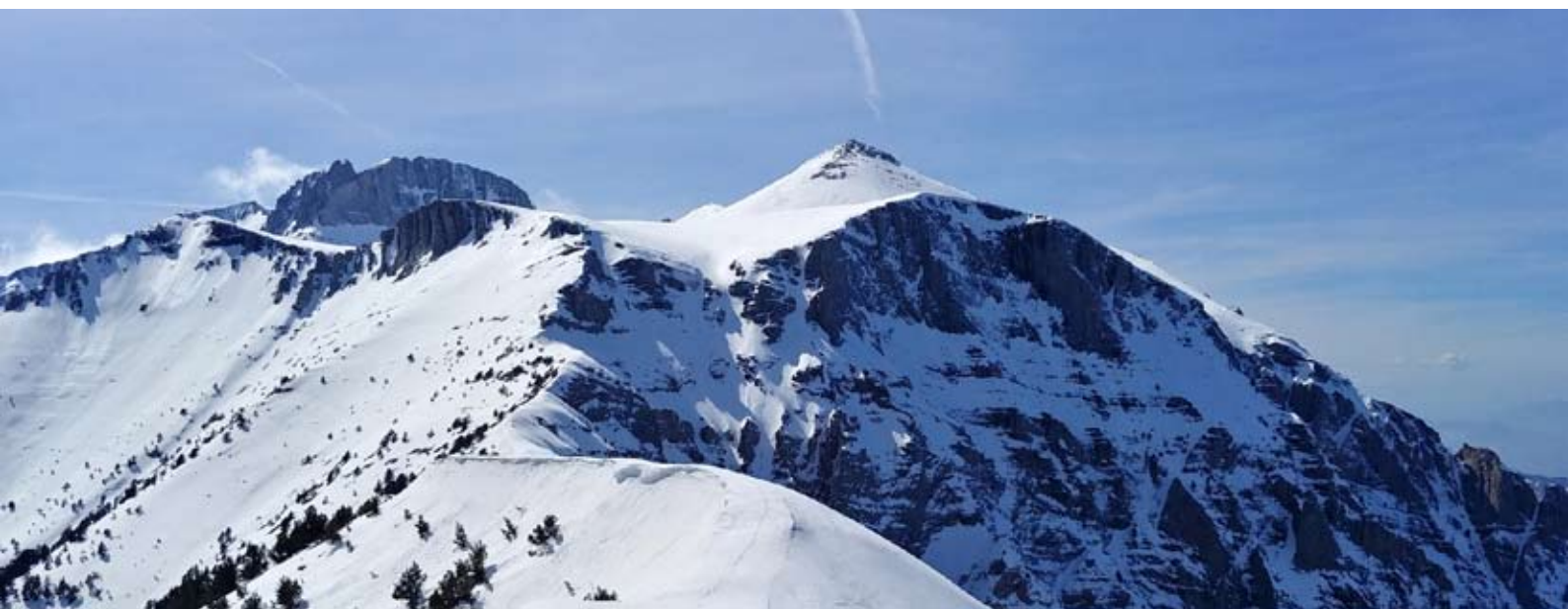


# Moje życie w Litochoro

Litochoro przyczepione jest do krawędzi urwiska. Wąwóz Enipeas, który przecina na pół masyw Olimpu, obrywa się prawie pionową ścianą zaraz na ostatnich domach miasta. Co prawda budynki z tawernami znajdują się nawet na dnie wąwozu, ale na stałe nikt tam nie mieszka. Litochoro ma też zadziwiająco niespotykany układ. Główna ulica, wznosząca się łagodnie w górę, ulokowana



jest zupełnie z boku, a cała reszta to labirynt zaułków i uliczek, z którymi nawet Google Maps nie daje sobie rady. Miasto ma kształt mocno wydłużonego prostokąta i mimo, że z góry wygląda jak zupełnie płaski placek z truskawkami, z perspektywy mieszkańca albo niespiesznego wędrowca, wyraźnie dzieli się na dwie części: niższą, do ronda z fontanną, na końcu głównej ulicy i tarasowo wznoszącą się część górną, nieco starszą. Wyrażenie "część górna" może jednak zaskoczyć mieszkańców bardziej równinnych okolic, kiedy najkrótszą drogą idę na spacer do lasu, bez trudu robię w obrębie miasta przewyższenie ponad 120 m!



Litochoro położone jest między górami a morzem. Nie więcej niż 15 km dzieli miasto od szczytu Olimpu, 5 km od Morza Egejskiego. Nad morzem przebiega też autostrada A1, łącząca nas ze światem. Jadąc na północ, w godzinę mogę dojechać do Salonik, w trzy i pół godziny do Aten na południu. Całkiem niedaleko jest też skrzyżowanie z drugą najważniejszą drogą Grecji Egnatia Odos, która prowadzi w Meteory (3 godz.), Góry Pindos (4 godz. do Metsova)



i na wybrzeża Morza Jońskiego (7 godz.). Nie należy jednak ulegać złudzeniu, że skoro Grecja jest trzy razy mniejsza od Polski, wszędzie jest blisko. Dystans między Aleksandropoli, przy granicy z Turcją, a przylądkiem Metapan na końcu Peloponezu to 1100 km, czyli znacznie więcej niż z Przemyśla do Szczecina! Na wyspy Morza Egejskiego jest oczywiście jeszcze dalej, w każdym sensie. Olimp jest głównym sensem istnienia miasta, chociaż nie zawsze tak było, a Muzeum Morskie ulokowane przy głównej ulicy najlepiej o tym zaświadcza. Żeby mieć jakieś wyobrażenie skali góry bogów, lepiej myśleć raczej o masywie Olimpu niż pojedynczej górze. Porównanie do najwyższych gór Polski i Słowacji może być pouczające. Droga asfaltowa wokół Tatr liczy około 230 km, analogiczna droga wokół Olimpu to co najmniej 160 km, przy tym Olimp - inaczej niż Tatry otoczone szerokimi dolinami - dosyć płynnie przechodzi w masyw Małego Olimpu na południu i Góry Pieria na północy. Według popularnej w Litochoro książki Nikosa Nezisa, na Olimpie jest 55 szczytów wyższych niż 2000 m, podobno dokładnie tyle samo co w Tatrach. Główny wierzchołek - Mitikas - wznosi się jednak sporo wyżej niż Gerlach i osiąga 2917 m. Na górze bogów jest zdecydowanie mniej granitów niż w Tatrach, a więc mniej pio-

nowych ścian. Trudno jednak rozstrzygnąć czy przez to, masyw jest łatwiej dostępny. Wysokości względne są często dwa razy większe niż między Zakopanem a Popradem, ścieżki o wiele bardziej naturalne, a nierównych kamieni nie brakuje, nawet jak nie są to granity. Najbardziej charakterystyczne są jednak wąwozy. Ze wszystkich stron Olimpu schodzą na dół głębokie doliny o stromych, prawie pionowych ścianach, bardzo słusznie nazywane wąwozami. Jeśli nie ma ścieżki, pokonanie takiego wąwozu jest praktycznie niemożliwe, zarówno wzdłuż, jak i w poprzek (próbowałem kilka razy).



Trudność związana jest także z o wiele bardziej ekspansywną przyrodą niż u nas. Nieużywane szlaki zarastają w mgnieniu oka, a znakomita większość roślin w niższych położeniach ma kolce lub ostre, suche gałęzie. Piętro alpejskie, z całkiem zieloną trawą, zaczyna się od wysokości ok. 2400 m, a największą jego atrakcją jest Płaskowyż Muz, ogromny, prawie płaski kawałek terenu na wysokości 2600 m., podchodzący do dwóch głównych wierzchołków

Stefani i Mitikas.

Płaskowyż Muz, Mitikas i Stefani to jednak cel dłuższej, całodziennej wycieczki, Olimp w rejonie Litochoro jest przede wszystkim lesisty. Jest to las bardzo różnorodny, bogaty w gatunki drzew zarówno liściastych jak i iglastych, o niezwyklej jak na Grecję ilości wilgoci, i co szczególnie ważne z mojej perspektywy, las dający cień i oferujący całkiem dużo, pięknych i w miarę wygodnych ścieżek do biegania. Bez trudu znajduję tu trasy zarówno na krótkie, szybkie treningi (pętla na Stavros lub na polanę Gkolna, każda po ok. 10 km długości i 700 m przewyższenia), średnie trasy typu 20 km+ i ok. 1500 m do góry (wycieczka do starego monastynu, po obu zboczach Wąwozu Enipeas) jak i poważne, całodzienne wyprawy biegowe (cross całego masywu z Kokinopilos do Litochoro, czyli z zachodu na wschód, ma około 40 km i +3000 m). A wszystko to (prawie) tylko w piętrze lasów do wysokości 1000-1300 m. n.p.m.

w bezpośrednim sąsiedztwie Litochoro. Wokół całego masywu rozmieszczonych jest co najmniej kilka miejscowości - Dion, Vrontou, Petra, Kokkinopilos, Karya - które mogą stanowić punkt wypadowy na Górę i każda oferuje swój, nieco odmienny, "kawałek" Olimpu. Generalnie, północne i wschodnie zbocza są o wiele bardziej zalesione niż południowe i zachodnie. Po południowej stronie jest też nieco cieplej, a po zachodniej nieco chłodniej (niż na wschodzie). Jedną z największych zalet mieszkania w Litochoro bardzo trafnie opisuje to najprostsze zdanie: Olimp to bardzo wysoka góra położona w klimacie śródziemnomorskim. Wynika z niego także możliwość przebywania jakby w kilku światach na raz. W połowie listopada wysoko w górach spadł pierwszy śnieg i utrzymuje się tam do tej pory (połowa maja). Nie jest to w żadnym stopniu śnieg symboliczny, miesiąc temu widziałem schronisko zasypane aż po dach,

a więc pokrywa śnieżna miała wtedy co najmniej 2,5 m. Jednocześnie do wysokości 1000 metrów śniegu nie było wcale, ścieżki prawie cały czas suche, a temperatura w styczniu w Litochoro osiągała plus 15 stopni. Często zatem było tak, że jednego dnia szedłem w wielkich butach górskich, objuczony jak muł olimpijski w ciężki plecak z rakami, czekanem i zestawem ciepłych ubrań na Płaskowyż Muz lub Kalogeros (2701 m), a następnego biegłem w butach sportowych i krótkich spodenkach do starego monastynu św. Dionizego na wysokości 900 m, w zupełnie wiosennym klimacie, z dużą ilością kwitnących kwiatów po drodze. Dla pełnego obrazu warto wspomnieć, że w Morzu Egejskim koło Litochoro kąpałem się pod koniec listopada, a o wiele bardziej pływacko zdeterminowany, właściciel jednej z tawern w mieście, robi to codziennie od 20 lat! Jednak największa różnica klimatyczna jakiej tu doświadczyłem dotyczy nie temperatury ale słońca i wiatru. Ilość dni słonecznych przez wszystkie zimowe miesiące była po prostu oszałamiająca! Pierwszy obraz jaki widzę prawie codziennie po przebudzeniu,





to błękit czystego nieba. A wiatr nie wieje w Litochoro wcale! Jak łatwo zapomnieć o szarzyźnie trwającej całymi miesiącami w zimnych krainach północy i wichurze urywającej głowę prawie codziennie.

Jak widać z tego początkowego fragmentu, nie staram się tu opisywać jakie Litochoro jest "naprawdę". Nie mam do tego ani kwalifikacji, ani wystarczającej wiedzy i doświadczenia. To mój obraz Miasta i jestem w pełni świadomy, że za każdym razem kiedy próbuję coś dostrzec i zrozumieć, wychodzę od tego co dobrze znam, czyli Polski, Warszawy i polskich gór. To pozwala zauważyć różnice, ale podkreśla też zalety, jeśli w starym kraju widziałem w danej dziedzinie głównie wady. Jeśli piszę na przykład, że ścieżki na Olimpie są zupełnie puste, mam w pamięci koszmar tłumu turystów w Polskich Tatrach i w Zakopanem. Aby tło moich rozważań było pełniejsze, wspomnę jeszcze, że urodziłem się i wychowałem w mieście

średniej wielkości (ok. 100 tys. mieszkańców), przez 10 lat zdarzyło mi się mieszkać na wsi, a przez ponad 20 lat w Warszawie.

Jednocześnie moje pragnienie opisanego życia w Litochoro wynika z chęci uchwycenia tego niezwykłego momentu, kiedy nie jestem już turystą, zaczynam coraz lepiej poznawać miejsce w którym żyję - ścieżki na Olimpie znam pewnie lepiej niż większość lokalnych mieszkańców - nie jestem już obcy, ale nie jestem też swój. Ciągle



poznaję w tydzień więcej rzeczy niż w Polsce przez rok! Zachwycają mnie zmiany pór roku, kwiaty w styczniu, drzewa z wiecznie zielonymi liśćmi, setki salamander na ścieżce do groty pustelnika, nowe domy dwie przecznice za rogiem, możliwość grania w koszykówkę przed szkołą na początku lutego, lokalne zwyczaje, nowi ludzie których poznaję co chwila, nowe słowa i niezwykła melodyka języka greckiego, którą słyszę na co dzień.

Patrząc z tej perspektywy, bardzo łatwo zauważyć, że Litochoro jest zupełnie inaczej "zorganizowane" niż podobne miejsca w Pol-

sce. Bardziej przyjazne do życia, otwarte na ludzi i ich potrzeby, sprzyjające spotkaniom i rozmowie. W mieście jest niezliczona ilość tawern i kawiarni. Tylko przy głównej ulicy naliczyłem ich ponad 20! W całkiem dużej (choć o połowę mniejszej od Litochoro) miejscowości turystycznej na południu Polski, w której kiedyś organizowałem zawody, restauracja (odpowiednik greckiej tawerny) jest... jedna. Kawiarni nie ma wcale!

Litochoro ma też zadziwiająco dużo miejsc publicznych. Zupełnie sensacyjny jest lekkoatletyczny stadion sportowy, oczywiście z boiskiem piłkarskim, ale także z prawdziwą bieżnią na 8 torów, skocznią w dal, wzwyż i do skoku o tyczce. Z rowem do biegu z przeszkodami i z zapasowym boiskiem. No i cudownym widokiem wokół, bo po jednej stronie mam szczyty Olimpu, a po drugiej Morze Egejskie. Takiego stadionu nie ma nie tylko żadne miasto podobnej wielkości w Polsce, ale pewnie wiele miast w znacznie bogatszej Europie.

Podobnych miejsc społecznie aktywnych jest w mieście znacznie więcej. W samym centrum ulokowany jest Park Miejski, z kilkoma alejkami, oczkiem wodnym i dużą fontanną, amfiteatrem i częścią





i nieco bardziej dziką. To co się dzieje w tym parku w ciepłe letnie wieczory (u nas byłaby to późna noc, bo w kraju nad Wisłą ludzie jak wiadomo chodzą spać z kurami) przechodzi moje wyobrażenia: starzy siedzą na ławkach i rozmawiają, młodzi chodzą gdzieś po alejkach, dzieci jeżdżą na rowerach, gwar, nieustanny ruch, przyjazna, otwarta atmosfera - prawdziwy ludzki ul. Na początku się zastanawiałem - a gdzie są dresiarze wysiadujący nieustannie przed moim blokiem w Warszawie, czyżby tutaj nie produkowali bluz z kapturem i ich noszenie nie było obowiązkowe? Gdzie są ci menele, pijacy codziennie jakieś płyny przed sklepem na moim osiedlu - zabrakło taniego wina? Teraz przestałem się zastanawiać - może to jest jednak prawdziwy świat i tak po prostu żyją ludzie, a to co miałem wcześniej, to był jakiś matrix.

To ciągle nie wszystko. W Litochoro jest znacznie więcej mniejszych, publicznych parków. Takich skwerków z alejkami, drzewa-

mi i ławeczkami, wciśniętymi gdzieś między domy, żeby okoliczni mieszkańcy nie musieli schodzić na dół, a dzieci miały się gdzie bawić z rówieśnikami. Już nawet nie zadaję sobie pytania, dlaczego te dzieci są cały czas na zewnątrz, mają tyle ruchu, pewnie nie wymyślono tu jeszcze gier komputerowych...

Spotkania to w Litochoro jakby inna rzeczywistość. Oczywiście, tawerny i kawiarnie to miejsca z definicji przeznaczone na spotkania. Bo obiad w tawernie to nie jest po prostu jedzenie, to biesiadowanie, które często składa się z kilkunastu dań, trwa kilka godzin i zawsze odnoszę wrażenie, że głównym jego celem nie jest napełnienie brzucha tylko spotkanie i rozmowa. Nie tylko ze współbiesiadnikami zresztą... Kiedyś zasiedliśmy przy stole i zaczęli rozmowę (po angielsku). Na to wtrącił się jakiś człowiek z sąsiedniego stolika i Lazaros rozmawiał z nim przez... 15 min (!) - To twój znajomy? - zapytałem. Nie, po prostu człowiek... Ciągłe nie mogę wyjść z podziwu.

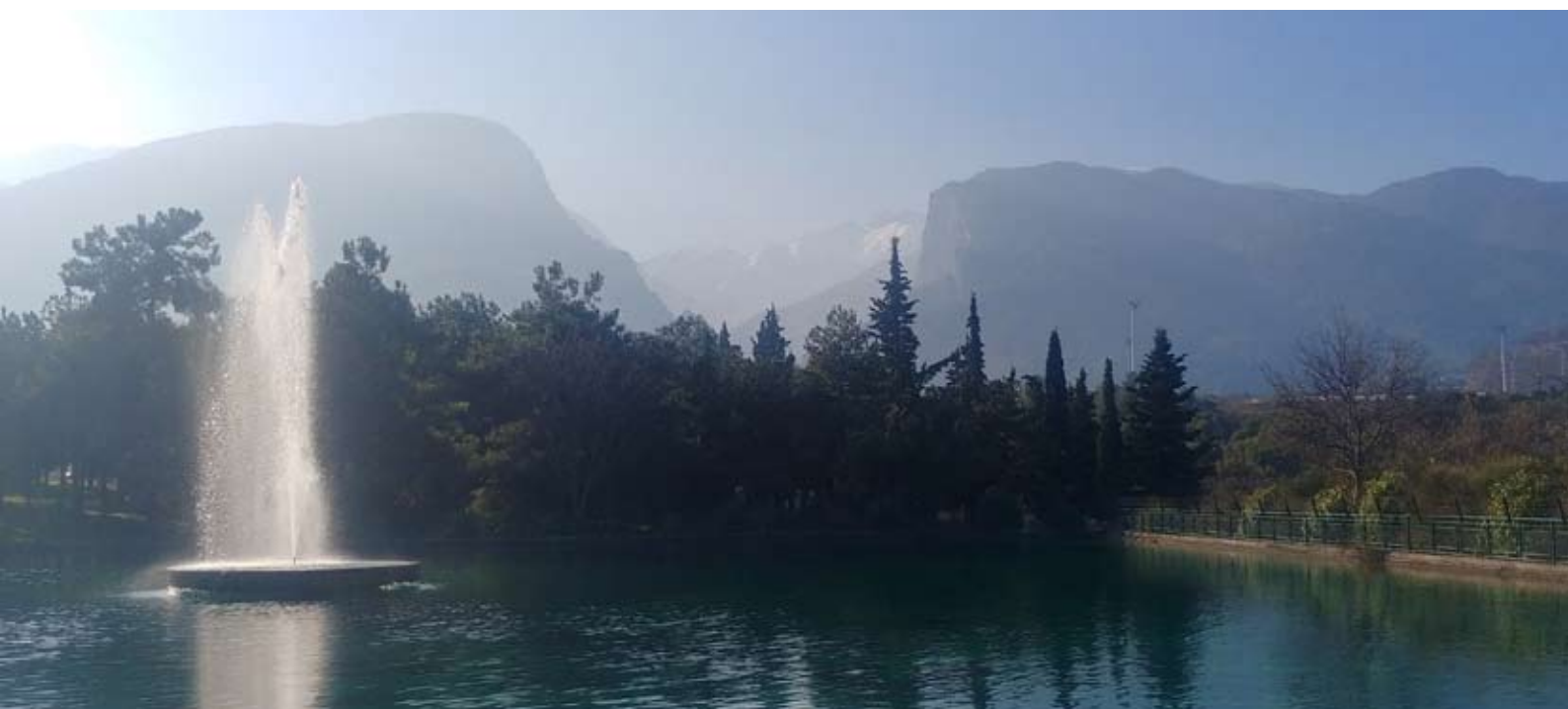
Ale nie tylko to. Mieszkam w Litochoro ledwie kilka miesięcy, ale za każdym razem kiedy się gdzieś przemieszczam spotykam znajomych. Nie jakichś wielkich przyjaciół, ale po prostu ludzi, których znam. A znam kogoś w Litochoro, bo np. dwa razy zrobiłem zakupy w jego sklepie. I taki człowiek rozpoznaje mnie z daleka, krzyczy Hello i zagaduje co słyszeć. A jak przypadkowo spotka mnie w kawiarni to stawia mi kawę, albo piwo. Ludzie "spotykają się" tutaj nieustannie. I nic nie stanowi przeszkody w takim spotkaniu: główne skrzyżowanie miasta, dwa samochody zatrzymują się na samym środku, bo właściciele muszą zamienić kilka słów. A inni spokojnie czekają, bo rozumieją przecież, że nic nie jest ważniejsze niż spotkanie dwojga ludzi.

Zastanawiam się czy ta rzeczywistość i codzienność spotkania, otwar-

tość ludzi na innych nie przejawia się nawet w architekturze. Przecież najważniejszym elementem każdego domu w Litochoro jest... taras. Balkon, weranda, loggia, czy jakieś inne miejsce na zewnątrz, gdzie stoi stół i krzesła. Domy są w mieście bardzo różne, ale ten element jest w każdym, w niezliczonej zresztą ilości realizacji. Czasami takie miejsce ulokowane jest na dachu, oczywiście pod jakimś daszkiem, bo wyżej jest większa szansa na ruch powietrza w czasie letnich upałów. Życie w Litochoro toczy się przede wszystkim na zewnątrz, a domy w o wiele mniejszym stopniu izolują człowieka od świata zewnętrznego. Nie mają przestrzeni pośrednich, korytarzy, przedpokojów czy wiatrołapów, bardzo często wchodzi się bezpośrednio do pokoju albo kuchni.

Litochoro nie urzeka architekturą swoich budynków od pierwszego wejrzenia. Nie wygląda jak Paleo Panteleimonas albo wioski w Zagori, które mogłyby robić za skansen. Z pewnością jest miastem żywym, bogatym inwencją swoich mieszkańców, różnymi ich potrzebami i zmiennym gustem. Jednak wszystkie domy w mieście mają dachy z czerwonej dachówki. Nie większość z nich, wszystkie! To nadaje styl i jedność urbanistyczną. Z góry miasto rzeczywiście





wygląda jak placek z truskawkami, wyrażenie z początku tekstu nie było jakąś kwiecistą metaforą. Poza tym domy są bardzo różne. Niektóre zachowują cechy stylu tradycyjnego, czyli kamienne ściany z ozdobnymi listwami drewnianymi, rozmieszczonymi w jakby przypadkowych miejscach; chociaż obecność tych elementów niekoniecznie świadczy, że budynek jest stary, bo wiele nowych domów też jest budowanych w ten sposób. Są w Litochoro domy otynkowane na biało, całkiem sporo jest też bloków mieszkalnych, chociaż zupełnie nie przypominają one tych na Ursynowie, są o wiele mniejsze i tak wkomponowane w miejskie otoczenie, że trudno je rozpoznać. Wszystkie te domy mają jedną cechę: są w niebywały sposób rozczłonkowane, mają niezliczoną ilość elementów różnej wysokości, przybudówek, daszków i okapów. Wzrok ma się na czym zaczepić i z nieustającą przyjemnością błąkam się czasami po wąskich zaułkach, odkrywając coraz to nowe perełki. Oddzielnym tematem są przydomowe ogródki. Inwencja i zmysł

estetyczny mieszkańców najlepiej przejawia się chyba w tych ulotnych elementach, wymagających nieustannej troski. Ogródki są małe, ale wszelka roślinność po prostu z nich wybucha, wielką ilością, egzotycznych dla mnie, kwiatów, drzew i krzewów. Czasami dominujące są donice różnej wielkości, przypadkowo, jakby od niechcenia, poustawiane, niektóre do złudzenia przypominają pito-  
sy z Pałacu Minosa w Knossos.



Litochoro jest bazą wypadową na Olimp, ale nie jest właściwie miastem turystycznym, tzn. nie żyje głównie z turystyki, jak np. Zakopane. Porównanie wydaje się jak najbardziej uprawnione, skoro oba miasta leżą u podnóża najwyższych gór w swoim kraju. Jednak porównanie takie ukazuje znacznie więcej różnic niż podobieństw. Przede wszystkim cyfry. W Litochoro żyje 7 tys. stałych mieszkańców, w Zakopanem 30 tys. Wg szacunkowych danych, w mieście pod Tatrami średnio przebywa stale 150 tys. turystów, pod Olimpem z pewnością mniej niż stałych mieszkańców. Nie ma

w Litochoro żadnych atrakcji dla masowego turysty: kolejki linowej, wyciągów narciarskich, basenów termalnych, wielkich hoteli ani powozów konnych przewożących ludzi po asfaltowej drodze. Sklep sportowy jest tylko jeden, chociaż znakomity! Zatem porównanie ruchu turystycznego wydaje się karkołomne, bo ustawienie każdej liczby obok zera (lub prawie zera) daje wrażenie ogromnej wartości. Z mojej osobistej perspektywy opisuję to w ten sposób, że do Zakopanego nie jestem już w stanie jeździć od wielu lat, a w Litochoro mogę pracować nad rozwojem ruchu turystycznego i nie czuję z tego powodu żadnego dyskomfortu.

W ten sposób dochodzę do kluczowego momentu w próbie wytłumaczenia co ja tu właściwie robię i dlaczego Litochoro skradło moje serce. Najważniejszą cechą każdej podróży, każdej zmiany miejsca pobytu tym bardziej, jest możliwość poznawania nowych rzeczy. Nie chodzi tylko o to, że tych nowych rzeczy jest wokół nas obiektywnie więcej niż w domu, ważniejsze że nasz zmysł postrzegania przedstawia się jakby w tryb odbioru, staje się bardziej otwarty na nowości, bardziej wrażliwy, a czasami nawet bardziej zachłanny i poszukujący. Głodny wrażeń i nowych odkryć. A czy może być jakieś lepsze miejsce do odkrywania niż Grecja? Teoretycznie żyję tutaj jak wszędzie, między domem, coffee barem, górami do treningu i innymi miejscami codziennej aktywności. Ale przecież ekscytuje mnie niezmiennie, że 4 km na północ od miasta urodził się Orfeusz (oczywiście pojechałem zobaczyć gdzie to jest), Aleksander Wielki wyruszył na podbój świata z pałacu, który położony jest tylko 30 km dalej, a żmija ukąsiła Eurydykę w Dolinie Tempe, którą od Litochoro dzieli dwie godziny jazdy rowerem. Żyję w świecie moich marzeń i snów, tylko że teraz mogę pojechać i zobaczyć jak ten świat wygląda naprawdę. I okazuje się, taka konfrontacja wychodzi



mu tylko na dobre.

Ale przecież nie tylko tak odległe starocie poruszają moją wyobraźnię. W Litochoro jest bardzo dużo różnych pozostałości: opuszczonych lub nie dokończonych domów, pustych lokali użytkowych, jakichś dziwnych konstrukcji, które nie wiadomo czemu miały służyć, są nawet nieczynne tawerny i hotele. To wszystko świadczy przecież o dawnej świetności. Bardziej nawet o świetności planów i wielkim optymizmie inwestycyjnym mieszkańców, ale wciąż o tym, że przeszłość bywała pełna nadziei. Podobnie jest ze ścieżkami w górach. Główny szlak turystyczny E-4 przez Wąwóz Enipeas, wybudowany w drugiej połowie lat 80-tych poprzedniego wieku, 30 lat temu zapewniał o wiele łatwiejszy dostęp w głąb gór niż obecnie, kiedy jest tak zniszczony, że przypomina właściwie naturalną ścieżkę. Jeszcze gorzej (czyli lepiej) jest z wszystkimi innymi szlakami w masywie. Kiedyś mi się wydawało, że na Olimpie jest bardzo mało ścieżek, teraz wiem, że jest ich całe mnóstwo! Oczywiście, w większości ich nie widać, bo były to ścieżki pasterskie, a ponad 40 lat temu pasterstwo znikło z Olimpu, a ruch turystyczny był zbyt mały aby podtrzymać ich istnienie. Nie widać ich, ale one tam są. Czekają cierpliwie na ponowne odkrycie. Czyż to nie piękne

wyzwanie? Wiele razy sprawdzając kolejne warianty ledwie widocznych szlaków, która znikają nagle w środku lasu lub nad urwiskiem, czułem się jak pierwsi turyści nawiedzający polskie góry pod koniec XIX wieku albo pionierzy amerykańskiego Zachodu nieco wcześniej. Tylko ja i dzika natura. Z tą tylko różnicą, że w Grecji nigdy do końca nie wiadomo, czy jest to dzikość pierwotna czy też w czasach Peryklesa albo Konstantyna Wielkiego świat ten był pełen ludzkich śladów, a teraz zdziczał ponownie. Jak by nie było, życie w miejscu, w którym mogę się wcielić w odkrywcę i poszukiwacza dawnych śladów podnieca mnie nieustannie.

Na razie tu zostanę...

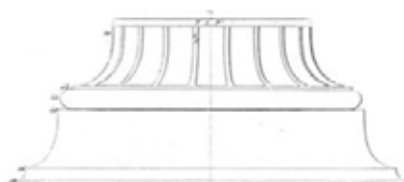


\* \* \*

Kiedy piszę te słowa Litochoro i cała Grecja powoli otrząsa się szoku wywołanego koronawirusem i próbuje powracać do normalności. Tawerny są ciągle zamknięte, ale prawie w każdej widać

przygotowania do nowego sezonu: remonty, naprawy, generalne porządki. Ludzie ponownie są na ulicach, spacerują, rozmawiają, spotykają znajomych. Park miejski ożył, do Lakkos wróciły bezpieczne psy, bo coraz częściej są tam też ludzie i działa Papys - najlepszy gyros bar w mieście. Wczoraj został też otwarty mój ulubiony sklep sportowy 55 Peaks Outdoor Store. Po remoncie ma dwa razy większą powierzchnię, przyjazny wystrój i tak jak poprzednio znakomity wybór sprzętu turystycznego i biegowego najwyższej klasy. Mam wielkie szczęście, że wiodącą marką jest tam moja ulubiona firma Salwa. 55 Peaks to nie tylko sklep sportowy i punkt informacji turystycznej, ale także najważniejsze w mieście miejsce spotkań różnych górskich odmieńców. Tak wiele historii i pięknych znajomości zaczęło się właśnie tam. Jeśli będziecie kiedyś w Litochoro, wpadnijcie koniecznie, Monika z pewnością powita was dobrym słowem i kubkiem herbaty...

*Litochoro - Lakkos, maj 2020*



# Przypisy

1. Przedstawiony obraz podróży Pietera Brueghel'a do Włoch zaczerpnięty jest z przedmowy Czesława Miłosza do zbioru esejów Stanisława Vincenza - Po stronie dialogu, Warszawa 1983.
2. Oczywiście, Pałac króla Minosa nie jest w Heraklionie tylko w Knossos, jednak większość wyposażenia pałacu jest w muzeum, w Knossos są tylko kopie.
3. Wszechobecny oczywiście tylko w sezonie letnim, w zimę czy na wiosnę cykad nie słychać. Jednak z perspektywy wakacyjnego turysty, cykady są wszędzie.
4. Niektóre amerykańskie gatunki nawet 13 lub 17 lat mieszkają pod ziemią, przy tym te 17-letnie mają cykl życia zharmonizowany w obrębie gatunku na danym obszarze, a więc pojawiają się wszystkie jednocześnie, raz na 17 lat. Następny wylęg spodziewany jest w stanach wschodniego wybrzeża w 2029 roku. Cykady greckie nie są tak długowieczne, spędzają w ziemi od 2 do 5 lat.
5. Warto dodać że, każdy gatunek cykad tworzy nieco inny rodzaj muzyki, właściwy tylko dla niego, oraz że w obrębie tego samego gatunku cykady grają razem, ale starają się nie zakłócać muzyki swoich dalszych kuzynów, czy to wybierając nieco inne pory dnia na koncertowanie, inne wysokości, które zajmują na drzewach czy też inne tereny.
6. Cytat z Platona za elektronicznym wydanie Fajdrosa, zamieszczonym na stronie [www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)
7. Ktoś mógłby powiedzieć, że cykady w ogóle nie pojawiają się w Fajdrosie. Starogreckie "tettix" Witwicki raz tłumaczy jako "świerszcze", raz jako "powiki", nie rozumiejąc chyba ich roli w dialogu i w kulturze greckiej. Niestety podobny błąd popełniają tłumacze innych języków. Najpopularniejszy angielski przekład Benjamina Jowetta używa określenia "grasshopper" czyni konik polny.
8. Porównaj: [Rory B. Egan, Cicadas in Ancient Greece: Ventures in Classical Tettigology](#)
9. Jeżeli takie określenie można użyć w stosunku do Grecji, gdzie łopata wbita praktycznie w każdym miejscu zapowiada jakieś artefakty. Kiedy budowano drogę z Katerini do Larrisy, na odcinku 130 km znaleziono pozostałości ponad 300 starożytnych osad!

10. Zieleń jest dla archeologów oczywistym sygnałem narzędzi z brązu, czyli stopu miedzi i cyny, który był podstawowym materiałem do wyrobu narzędzi i broni w okresie mykeńskim. Brąz jest oczywiście koloru ciemno brązowego, ale z czasem, pod wpływem powietrza i wody, pokrywa się warstwą zasadowego węglanu wapnia, który jest zielony.

11. Wyrażenie "pieczęć" może być nieco zwodnicze. Część tych przedmiotów rzeczywiście służyła do pieczętowania czegoś, większość jednak spełniała funkcję amuletu, czyli miała znaczenie magiczno-religijne. Odnosi się to także do naszego kamienia Wojownika Gryfa.

12. Używam polskiej nazwy Korfu, chociaż oryginalna, grecka wersja to Kerkyra. Wyraz Korfu nie występuje w greckim języku, i jest pochodzenia włoskiego. Kerkyra jest chyba najbardziej międzynarodową z greckich wysp, jest tam bardzo wiele wpływów włoskich, angielskich i francuskich. Szacuje się, że 10 procent mieszkańców wyspy to obcokrajowcy.

13. Część badaczy traktuje pismo linearne B jako część języka greckiego. Przy takim założeniu greka miałyby co najmniej 500 lat więcej.

14. Bruno Schulz, *Mityzacja rzeczywistości*, w: tegoż, *Proza*, Kraków 1973

15. Niektóre źródła podają nawet 14880 albo 16000 km. Wszystko zależy od sposobu pomiaru, przede wszystkim od długości jednostki pomiarowej, definicji wyspy, przyjętego kształtu powierzchni ziemi i wielu innych czynników.

16. Najczęściej używam aplikacji Komoot, która generalnie przeznaczona jest dla rowerzystów i oferuje bardzo dużą ilość szczegółów nieobecnych gdzie indziej, przede wszystkim nieistniejących na innych mapach ścieżek. Komoot ma też dobrze działającą część nawigacyjną, może poprowadzić do wybranego celu różnymi drogami, w zależności czy wybiorę rower szosowy, gravel czy górski, a nawet hiking lub mountainiering. Niemniej, całkiem często poruszam się w rejonie Olimpu ścieżkami, o których nawet Komoot nic nie wie i uparcie radzi mi żebym zawrócił, bo ta droga nie istnieje.

17. Igrzyska pierwszej olimpiady odbyły się w 776 r. p.n.e. Jest to pierwsze potwierdzona i w miarę ścisła data w historii Grecji - co samo w sobie jest już dosyć wyjątkowe, bo historia zwykle woli pamiętać bitwy, rozejmy albo panowania władców. Starożytne igrzyska były wydarzeniami sportowo-religijnymi ku czci Zeusa. Niemniej rywalizacja sportowa była już wtedy najważniejsza.

18. Według najnowszych pomiarów Olympus Mythical Trail ma 106 km długości, a suma podbiegów to 6840 m. Na pokonanie całej trasy zawodnicy

mają 28 godzin. Po drodze nie ma żadnych siedzib ludzkich, jedyne ślady cywilizacji to schroniska górskie.

19. Relacja niniejsza dotyczy edycji z 2017 roku. Począwszy od roku 2019 miejsce startu i mety zostało przeniesione do Litochoro, a więc zmieniła się kolejność pętli: teraz duża jest na początku a mała na końcu. Jednocześnie zmieniona została godzina startu (teraz start jest o północy), a więc z grubsza biegacze znajdują się w tych samych miejscach o tej samej porze.

20. Orivetiko Olympos Marathon organizowany jest nieprzerwanie od 1986 roku. Trasa przebiega przez Płaskowyż Muz, osiąga zatem wysokość ponad 2600 m. To jeden z najstarszych biegów górskich w Europie

21. To bardzo ciekawe, że środowisko biegaczy górskich w Grecji osiągnęło poziom integracji, który umożliwia utworzenie takiego stowarzyszenia.

HARTA - [Hellenic Adventure Running and Trail Association](#) ma już swoją stronę na facebooku. Dodatkowo, w środowisku tym powstała idea stworzenia własnego systemu oceny wyników biegaczy, podobnego do systemu ITRA, ale uwzględniającego więcej zmiennych. Zarówno stowarzyszenie jak i system oceny są już prawie gotowe i zostaną wdrożone w najbliższych tygodniach.

## Źródła zdjęć:

Grzegorz Olesiak: zdjęcia na stronach: 1, 5, 13, 26, 29, 39, 40,41, 43, 73, 74, 75,76, 78, 79, 80, 81, 82, 84, 85, 86, 88, 89.

Wikimedia Commons: 7, 8, 11, 16, 17, 20, 22, 25, 27,28, 47, 48, 55,

Archeology National Museum, Athens: 44.

[www.west-crete.com](#): 53.

Wiliam Mckenzi. London, Edinburgh & Glasgow: 54.

Biblioteka Narodowa, Warszawa: 56.

[www.ursatrail.gr](#): 59.

[www.omt100.com](#): 61, 62, 64, 65, 66, 68, 70.

University of Cincinnati: 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37.



Jestem antropologiem kultury, miłośnikiem  
Morza Śródziemnego i biegaczem ultra.  
Przez kilka lat organizowałem zawody Gorce Ultra-Trail  
na południu Polski. Prowadzę kilka stron  
internetowych poświęconych  
bieganiu i Grecji:  
[www.mojwielkibieg.pl](http://www.mojwielkibieg.pl), [www.nietylkoobieganiu.pl](http://www.nietylkoobieganiu.pl),  
[www.forgottenolympus.com](http://www.forgottenolympus.com),  
[www.facebook.com/trailrunninggreece](https://www.facebook.com/trailrunninggreece).  
Od kilku miesięcy mieszkam w Litochoro.

[greg@forgottenolympus.com](mailto:greg@forgottenolympus.com)